NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop., z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.
Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. Kraków, 19 maja 1906 r. Nr. 20.

Otwarcie Dumy.

(Treść na stronie 2).



Otwarcie Dumy.

(Do illustracyi tytułowej).

Z dniem 10 maja br. weszła Rosya na nowe tory; w dniu tym uczyniono pierwszy krok do konstytucyonalizmu: Duma zebrała się i przystąpiła do obrad.

Z krwawego posiewu wzeszła ta ruń parlamentarna, z gleby zmierzwionej przez wojnę mandżurską, zoranej gwałtami biurokracyi i nieprzebranem mnóstwem zamachów, którymi na nie odpowiadano. Jęczały puszczyki złowróżbne nad tą glebą, tłumiąc otuchę i krakały stada kruków, żeru łakomych. W rozpaczliwej walce z okowami długo pasował się Prometeusz rosyjski, zanim częściowo przynajmniej uzyskał swobodę. Rewolucya jak pożar ogarnęła wszystkie zakątki państwa, terroryzm święcił tryumfy z dołu i z góry. Rosya przemieniła się jakby w Dantejskie piekło, ze wszystkimi kręgami grozy i męczarni.

Na krwią ociekających ruinach stanęła Duma, jako zwiastunka pomyślniejszej przyszłości, ta Duma, która ma stać się oliwą na falach wzburzenia, kitem w rozłamie, chlebnym kłosem na ugorze.

Dzień, w którym po raz pierwszy zbierali się reprezentanci narodu, aby na zasadach konstytucyjnych strzedz jego praw i wolności, był zwykle uroczystem świętem ludowem. O ileż większym powinien był być dla narodu rosyjskiego, który sobie Dumę stosami trupów i tysiącami więzionych do dziś dnia męczenników wolności okupił! A jednak w Petersburgu minął ten dzień inaczej!

I tam wprawdzie był on świętem, ale świętem innego rodzaju, bo nie ludowem, lecz urzędowem, nakazanem, ścieśnionem najrozmaitszemi ograniczeniami. Dość wspomnieć, że, według doniesień korespondentów, Petersburg w dniu tak uroczystym sprawiał wrażenie — obozu wojskowego.

* * *

Otwarcie Dumy naznaczono na godzinę 2 gą po południu. Para cesarska wraz z członkami rodziny panującej i świtą, przybyła rano o godzinie 10 tej jachtem z Peterhofu i wśród szpalerów wojska udała się zaraz z przystani do Pałacu Zimowego. W dwie godziny później około południa, zaczęła się zapełniać olbrzymia, marmurowa sala św. Jerzego, gdzie miał się odbyć historyczny akt otwarcia przedstawicielstwa ludowego jako czynnika konstytucyjnego. Przybyli senatorowie, generalicya, dygnitarze dworscy, ciało dyplomatyczne, członkowie Rady Państwa, a wreszcie ci, którzy w dniu tym powinni być pierwszymi — wybrańcy ludności. Znaczny ich zastęp przedstawiał się barwnie i zajmująco, zastąpione w nich bowiem były wszystkie niemal narodowości i wszystkie stroje ludowe olbrzymiego imperyum rosyjskiego. O godzinie 2 po odegraniu hymnu cesarskiego wszedł do sali władca Wszechrosyi, Mikołaj II. Po ucałowaniu krzyża przed ołtarzem, ustawionym w środku sali, metropolici odprawili prawosławne nabożeństwo. Po skończonych modłach cesarz zasiadł na tronie, po którego bokach usiadły obie cesarzowe, małżonka i matka, wraz z wielkimi książętami i księżniczkami, poczem cesarz odczytał mowę tronową. Moment ten historyczny przedstawia nasza rycina, zamieszczona na tytułowej stronie niniejszego numeru.

Mowa, wygłoszona przez cesarza, nie była mową tronową w znaczeniu, jakie tego rodzaju akty władców konstytucyjnych mają w innych państwach. Tam obejmuje ona zwykle ogólny program prac, czekających nowe ciało prawodawcze, tu była ona właściwie mową powitalną.

Po powitaniu Dumy dwór, wśród okrzyków „Hurra“ i dźwięków hymnu cesarskiego, opuścił salę. Ceremoniał otwarcia Dumy był więc wzorowany na ceremoniale innych dworów konstytucyjnych.

Po otwarciu w Pałacu Zimowym posłowie udali się powozami na pierwsze posiedzenie Dumy do Pałacu Taurydzkiego. Stamtąd ma Rosyi zabłysnąć słoneczne światło — konstytucyi.



Fot. aparatem redakcyjnym dla „Nowości Ill.“ W. Lis.

Akademia handlowa w Krakowie: Nowy gmach Akademii handlowej, wzniesiony przy ulicy Podwale, w miejscu dawnej ujeżdżalni wojskowej, według projektu architekta J. Zawiejskiego.

Akademia handlowa w Krakowie.

W ostatnich latach pozyskał Kraków kilkanaście pięknych, monumentalnych budowli. Należy do nich bezsprzecznie i świeżo ukończona Akademia handlowa, wzniesiona przy ul. Podwale, naprzeciw uniwersytetu Jagiellońskiego, w prześlicznem miejscu, bo przy plantacyach.

Jak widać na załączonej obok fotografii, jest to wysoki, trzypiętrowy gmach, wykończony z jakąś dziwną, niedającą się opisać finezyą i wdziękiem. Twórca tego gmachu, znakomity architekt p. Jan Zawiejski, którego dziełem jest również teatr miejski w Krakowie i cały szereg innych, przepięknych budowli, dokładał widocznie wszelkich starań, aby ten nowy przybytek nauki był budynkiem, odpowiadającym w zupełności najnowszym wymogom techniki, hygieny i artyzmu. I to mu się udało. Gmach Akademii handlowej ma w sobie coś, co musi zwrócić uwagę każdego, zadawalając w zupełności estetyczne uczucia.



Poseł z Podlasia: Seweryn książę Czetwertyński z Suchowoli, poseł do Dumy państwowej z gubernii Siedleckiej.



Eskadra austryacka w Egipcie: Oficerowie austryackiej eskadry, z hrabią Koziebrodzkim, posłem austryacko-węgierskim w Aleksandryi, którzy zostali przedstawieni egipskiemu kedywowi w czasie podróży reprezentacyjnej po wybrzeżach morza Śródziemnego.

Z początkiem września przeniesioną zostanie do nowego gmachu Akademii dotychczasowa szkoła handlowa. Szkoła ta, licząca około 200 uczniów, rozwija od szeregu lat skuteczną działalność w sferze handlowców, użyczając im fachowego wykształcenia. Utrzymywana przez miasto, a subwencyonowana przez rząd, szkoła ta mieściła się dotychczas przez szereg lat w nieodpowiednim zupełnie gmachu miejskim po kasie oszczędności przy ulicy Siennej. Z nowym rokiem szkolnym zyska pomieszczenie, godne siebie, w nowym, wspaniałym gmachu.

pasmem uroczystości dla członków eskadry. Zaczęło je uroczyste przyjęcie przez tamtejszego posła austryacko-węgierskiego, Polaka, hrabiego Tadeusza Bolesty Koziebrodzkiego. Jego to głównie staraniom zawdzięczyć należy, że kedyw egipski przyjął wszystkich członków eskadry na osobnej audyencyi i kazał ich sobie osobiście przedstawić.

Załączona obok illustracya przedstawia załogę austryackiej eskadry z hr. Koziebrodzkim pośrodku.

Na cześć eskadry wydał kedyw egipski wspaniały bankiet, w którym oprócz starszyzny marynarskiej i posła Koziebrodzkiego wzięło udział ta-

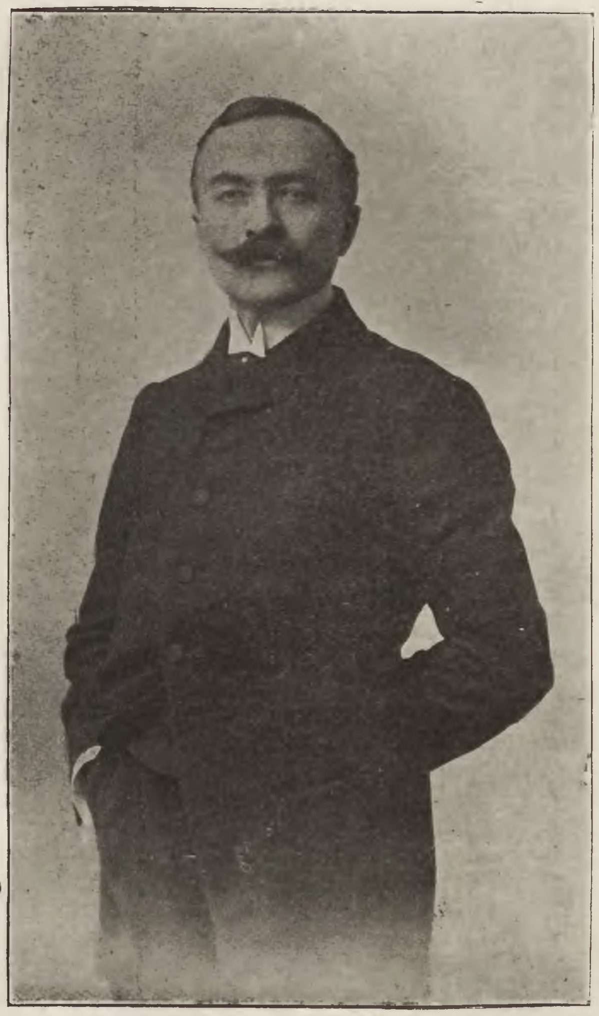
wyrobienie tych dzielnych strażaków. W końcu zwrócił się mowca do jubilata, dziękując mu, że tyle lat wytrwał w wiernej pracy, zachęcając do dalszej dla dobra miasta. W imieniu straży podziękował naczelnik straży prezydentowi, prosząc o dalszą opiekę reprezentacyi miasta dla straży pożarnej.

Władysław Miciński wstąpił do straży pożarnej miejskiej w Czerniowcach dnia 11 marca 1881, gdzie 25 lat nieprzerwanie pracował, odznaczając się wielką służbistością i trzeźwością, ku największemu zadowoleniu swoich przełożonych.

Jubilat podczas swej niezmordowanej i wiernej służby brał udział w 266 wielkich pożarach. Z okazyi wyratowania wielu ludzi od niechybnej śmierci podczas pożarów, został p. Miciński odznaczony srebrnym krzyżem zasługi.



300 razy w ogniu: Straż ogniowa miejska w Czerniowcach; uroczystość jubileuszu sierżanta Wład. Micińskiego.



Takich więcej: Znany w Warszawie adwokat przysięgły mecenas Stanisław Kijeński, prezes komisyj wyborczych, dzięki któremu wszystkie akta wyborcze spisywano po polsku. (Do illustracyi na stronie 13).

Poseł z Podlasia.

Jeden z najczynniejszych członków założycieli stronnictwa „Spójnia“ w Królestwie Polskiem, książę Seweryn Czetwertyński, wszedł do Dumy państwowej jako poseł z guberni Siedleckiej. Książę urodził się w 1872, ukończył szkoły w kraju, wydział agronomiczny na politechnice w Rydze, poczem poświęcał się badaniu spraw agrarnych. Słynie też jako działacz społeczny. Kiedy przed rokiem książę Mirski ustępował ze swego naczelnego stanowiska w Radzie Państwa, książę Czetwertyński przedstawił hr. Wittemu memoryał o stanie kościoła katolickiego w guberniach siedleckiej i lubelskiej.

Eskadra austryacka w Egipcie.

W ubiegłym miesiącu zawinęła eskadra austryacka w swej podróży reprezentacyjnej do Aleksandryi, gdzie zabawiła przez trzy blisko tygodnie. Pobyt w tej egipskiej stolicy był jednem

kże kilku wybitniejszych członków austryackiej kolonii, zamieszkałej w Aleksandryi.

300 razy w ogniu.

Dnia 11 b. m. odbyła się pierwsza uroczystość wręczenia medalu służbowego za 25 lat wiernej służby, jednemu ze strażaków w Czerniowcach.

Przed godziną 11-tą zebrali się w sali gimnastycznej strażnicy wszyscy strażacy w pełnym rynsztunku z pp. naczelnikiem i jego zastępcami Czapem, Zajączkowskim i Dworskim na czele.

Pierwsze miejsce zajął jubilat Polak, p. Władysław Miciński, sierżant I klasy. O godzinie 12 przyjechali prezydent miasta radca rządu Dr. Reiss, jego zastępca baron Fürth, asesosowie i liczni radni miasta.

Prezydent miasta, przypinając jubilatowi medal, podniósł w serdecznych słowach zadania straży pożarnej, a naszej w szczególności. Mowca skreślił w dalszym ciągu rozwój naszej straży miejskiej, dziękując przy tej sposobności naczelnikowi za

Medal, jaki otrzymał jubilat, przeznaczony jest dla osoby ze służby pożarnej, która pracowała wiernie przez lat 25. Z bukowińskich strażaków jest jubilat pierwszym, który otrzymał taki medal.

Rada miejska w uznaniu wiernej służby 25 letniej, wyznaczyła jubilatowi jako dar dodatek roczny w kwocie 400 koron. *(M. S).*



300 razy w ogniu: Uroczystość wręczenia medalu za 25 lat służby jubilatowi Władysławowi Micińskiemu, sierżantowi miejskiej straży pożarnej w Czerniowcach.

OFIARY WAMPIRÓW.

Romans z życia przez Gr—ego.

8 Ciąg dalszy.

— Hm, hm, mnie to zajmuje, widzi pan... bo przecież doktór Anielski uchodził za rzeczywiście wykształconego w swoim zawodzie i nader inteligentnego, co tak daje wzięcie w tym fachu... i niewątpliwie był to człowiek bardzo zdolny. Więc idzie mi o to, czy miał on odpowiednią do tego wszystkiego a dostateczną praktykę lekarską.

— Zapewne, widzi pan baron, ja mu nie ujmuję zdolności, bardzo szanowałem nawet w nim dużą wiedzę lekarską mimo młodego wieku... Ale co do praktyki, to była ona właściwie duża, ale niekorzystna. Leczył Anielski mnóstwo ludzi ubogich, od których nie brał wcale honoraryum, jeżeli się zdarzyło, że się tam któryś ściągnął na coś skromnego, albo też nie byłby grosza dostał, bo nie było z czego płacić lekarza... A co panu jeszcze powiem, że ta bezpłatna praktyka nie tylko nic nie przynosiła, ale mu jeszcze zabierała niesłychanie dużo czasu... Bo trzeba było znać go, jak to on leczył jakiegoś biedaka, od którego nie mógł się był spodziewać ani złotówki. Znam takich doktorów, co to na drzwiach swego gabinetu mają podane wzmianki, że ubogim udzielają porady bezpłatnej przez jakąś godzinkę o wczesnej porze rano. Na pewne każdy z nich, gdy biedak przyjdzie do niego, nie poświęca jednemu więcej czasu nad minutę dla zbadania jego choroby... Tymczasem, niech mi pan baron wierzy, że nieraz osobiście przekonałem się o tem w domu nieboszczyka, iż jeżeli tylko okazała się potrzeba, to go w swoim gabinecie trzymał niekiedy Anielski i po godzinie, do tego stopnia, że mogło się komuś obcemu zdawać, jakoby doktór miał u siebie pacyenta, który mu za wizytę już conajmniej sto rubli zostawi.

— Proszę, proszę — bąknął, słuchając Goldenthal — to niby z pewnego punktu widzenia, takie rzeczy, proszę ja pana, podobno nie należą do wad a do zalet — i uśmiechnął się, wydymając wargi.

— Dla przykładu — dodał jeszcze gospodarz — przytoczę panu baronowi taki wypadek... Przybyła do Anielskiego raz jakaś biedna kobieta kulawa na obie nogi, którą on po wizycie zaraz wziął do siebie na mieszkanie, byle módz lepiej doglądać w chorobie... W tym celu oddał jej zupełnie bezinteresownie mały pokoik przy swojem mieszkaniu... No, przyzna pan, że to są już rzeczy poprostu niesłychane w naszym młodym świecie lekarskim.

— Ale to bardzo szlachetnie — podchwycił baron — to bardzo pięknie ze strony człowieka, który sam, jak pan powiada, miał tak nie wiele... A nie wie pan przypadkiem — zapytał zaraz, korzystając z okazyi, Goldenthal ciekawie, ale zupełną obojętność przytem okazując — kochany panie, czy ta jakaś biedna kobieta mieszka jeszcze w domu doktora?

— Nie inaczej panie baronie, właśnie, że dotychczas siedzi tam w jego mieszkaniu, prawie nie opuszczając swojej izdebki, mimo, że znajduje się już dzisiaj w tym stanie, iż mogłaby śmiało wlec się o kiju ulicą...

— Ciekawe, ciekawe — mruczał Goldenthal z taką miną, jak gdyby go to wszystko nic nie obchodziło, a jednak w głębi duszy zadowolony niezmiernie z różnych rzeczy, o których dowiedział się dopiero z tej rozmowy, a które upewniały go w niektórych przypuszczeniach lub też były mu na rękę w ważnych jego zamysłach.

Kiedy zatem dostatecznie już wymacał ze wszystkich stron język swego interlokutora, uznał baron za stosowne wynieść się, a opuszczał restauracyę hotelową, jako tym razem ostatni gość.

Ulicą wśród nocnych mroków, Goldenthal nie biorąc dorożki, szedł wzdłuż murów, skradając się jakby złodziej.

Znalazł się wreszcie przed domem w Alejach Jerozolimskich, gdzie mieszkał doktór Anielski.

Przez chwilkę rozglądał się i nadsłuchiwał uważnie, poczem wyjmował dyskretnie z kieszeni różne klucze składane, na pozór drobnych rozmiarów. Jednym z takich kluczy otworzył sobie wreszcie zamek w bramie kamienicy. Wszedł do sieni, drzwi zamknął za sobą, ale już tylko na klamkę, a sprawił się tak cicho, że na pewne najbliżsi sąsiedzi bramy, nie śpiąc przypadkiem w domu, nie usłyszeli otwierania ni zamykania.

Przyszła potem kolej na drzwi na parterze prowadzące z sieni do mieszkania doktora Anielskiego. Otworzył je również bez najlżejszego hałasu z pomocą składanych kluczyków, zapewne nie dziś dorabianych, mimo, że tu było wejście zamknięte podwójnie z wewnątrz, raz na klucz w zamku, a powtóre na szczelny zatrzask powyżej klamki.

Goldenthal zniknąwszy za tymi drzwiami, zostawił je również zamknięte jedynie na klamkę.

Wyjęta z kieszeni płaszcza latarka pozwoliła mu swobodnie i bez mitręgi czasu gospodarować tu całkiem jak u siebie. To też zaraz znalazł się baron w gabinecie doktora. Światło latarki już od progu wskazało mu biurko, którego właśnie szukał. Miało ono urządzenie nowszego systemu, że jakkolwiek zawierało kilkadziesiąt skrytek oprócz szeregu większych szuflad, to jednak dotknięcie kluczem jedynego zameczka otwierało je wszystkie z chwilą, gdy podnosiło się spore wieko, jak nad klawiaturą, którem zwykle można było bez porządkowania na wierzchu stołu, przykryć odrazu i zamknąć bezpiecznie na odchodnem cały sekretarzyk i kantorek.

Baron Goldenthal wśród swoich kluczyków miał przygotowany już i taki, którym mógł się dobrać bez trudu do biurka doktora Anielskiego. Odbyło się też to w mgnieniu oka. Przekręcenie kluczyka — i już Goldenthal może buszować po wszystkich papierach nieboszczyka-gospodarza, a zarazem nieobecnej gospodyni.

Ciągle sobie świecąc latarką, przewracał baron stosy papierów, oryentując się znakomicie; to też natrafiwszy na paczkę, która go nie interesowała, nie tracił ani chwili, tylko brał się do następnej, dopóki nie odnalazł wszystkiego, na czem mu zależało i czego tu właściwie szukał.

Oczy jego błysnęły tryumfem, gdy natrafił na dużą szarą kopertę, pogiętą i wymiętą, ze staroświeckim adresem i szczątkami laku.

Tego mu było potrzeba. Po to przedewszystkiem przyszedł tu w nocy.

Trudno więc opisać, co się w tym człowieku działo, gdy tę kopertę wsuwał tryumfująco do wewnętrznej kieszeni piersiowej swojego surduta...

Wreszcie miał właśnie zamykać biurko, gdy wtem wśród nocnej ciszy usłyszał jak najwyraźniej, że otwarły się naprzód drzwi wejściowe z sieni do przedpokoju, potem następne drzwi do przyległego pokoju, usłyszał spokojne, powolne kroki... ktoś był w mieszkaniu, ktoś się zbliżał do gabinetu...

Pośpiesznie ukrył latarkę głęboko w fałdach swego płaszcza i poskoczył za szafę, gdzie jak sądził, znalazł najbezpieczniejsze schronienie w ciemnościach przed oczyma człowieka, który miał wejść.

W pokoju panował teraz mrok prawie zupełny, a rozświetlała go tylko nieco migotliwem światłem latarnia z ulicy przy chodniku stojąca prawie na wprost okien mieszkania parterowego Anielskich.

Goldenthal drżąc na całem ciele ze strachu spojrzał z poza szafy w stronę drzwi, od których jak gdyby wprost ku niemu szła postać ludzka.

Zbliżała się ona powoli, krokiem tajemniczym — niby upiór.

Baron w panicznej trwodze nie mógł dokładnie rozeznać odrazu szczegółów tej ciemnej postaci zmierzającej jak na złość w jego stronę: tylko mu się wyraźnie przywidziała blado-woskowa twarz trupa...

Nogi zachwiały się pod Goldenthalem a tymczasem upiór chodził po pokoju tak pewnie, jak gdyby każdy kątek w tym domu był mu znajomy. Krążył pomiędzy sprzętami tak swobodnie jak gdyby umiał na pamięć rozkład mebli w domu. Baronowi wydawało się, iż oczyma dziwnie błyszczącemi widmo to ciska spojrzenia badawcze to w tę, to w ową stronę, świdrując wzrokiem nieomal każdy zakątek pokoju — jak gdyby śledząc, jak gdyby szukając czegoś, czy kogoś... Coraz bardziej wydawało się baronowi nie ulegać wątpliwości, iż owa przerażająca go postać ludzka, czująca się tu jakby u siebie, musiała dosłyszeć szelest przez Goldenthala sprawiony — i śledzi...

Więc zapierał baron dech w sobie, ale słyszał wyraźnie jak hałaśliwie tłukło się w jego piersi serce przeżywające chwile najokropniejszej trwogi nieczystego sumienia. Wzroku nie odrywał od upiornego zjawiska skupiając na niem wszelką myśl i wszelką uwagę.

Sekundy wydawały mu się godzinami.

Miał strasznie dużo czasu zastanawiać się nad tem, żali ten gość tajemniczy był duchem czy człowiekiem.

Aż naraz uczuł dreszcz trwogi śmiertelnej.

Upiór zbliżył się do jego kryjówki — jakby śmierć, wyciągając rękę ku niemu...

Wtedy baron zerwał się z miejsca, niby ptak spłoszony niebezpieczeństwem — i rzucił się do drzwi. Wszystkie stały jeszcze otworem, podobnie jak brama, niedomknięta przez niego pozostawiona.

W mgnieniu oka zatem znalazł się Goldenthal na ulicy. Uciekał jak zwierz goniony, chociaż go nikt nie śledził — i nie zatrzymał się aż w swoim pokoju, gdzie padł zziajany na łóżko, umierając nieomal z trwogi.

Zemsta.

Już było po wschodzie słońca, gdy do bramy pałacu księcia Czerskiego w Alejach Ujazdowskich dobywał się jakiś człowiek niecierpliwie. W sieni dały się słyszeć kroki wreszcie, ale jeszcze bramy nie otwierano, tylko z poza drzwi odezwał się głos portyera zły i zdziwiony:

— A kto tam taki?

— To ja... Kosiara jestem... Niech pan prędko otwiera, bo będzie nieszczęście!

— A czego chcecie? Przecież teraz nie można widzieć się z jasnym panem... Cóż to znowu po nocy...

— Prędzej, panie Janie, otwierać, bo jasnemu panu waszemu grozi niebezpieczeństwo wielkie i muszę go sam natychmiast przestrzedz...

— To proszę mnie powiedzieć — odpowiedział portyer, jeszcze drzwi nie chcąc otworzyć — o co idzie?

— Odebrano mi trupa dziecka — rzucił Kosiara pośpiesznie szeptem podniesionym, nachyliwszy się do dziurki od klucza.

To już wystarczyło, żeby stary odźwierny otworzył bezzwłocznie bramę, wpuszczając Kosiarę do środka.

— Bójcie się Boga, policya mnie goni, a wy mi tu, panie Janie, każecie tyle czasu czekać pode drzwiami — zaczął mruczeć, ale już Jana nie było.

Stary służący, wtajemniczony w domu we wszystko, rzucił się na schody, żeby coprędzej dać znać księciu.

Za małą chwilę do uszu Kosiary doleciało wołanie tonem pełnym złości. To wzywał go Czerski, przed którym też znalazł się natychmiast, poskoczywszy w ślad za głosem.

Zmierzył go książę szybko od stóp do głowy i rzucił mu ostro:

— Opowiadaj prędko a krótko!

Ledwie ten mówić zaczął, książę krzyknął, tupiąc nogą:

— Kłamiesz, łotrze jakiś! Łżesz psie jeden... chcąc odemnie wyłudzić grubsze pieniądze... Jak ty śmiałeś napadać mnie z czemś podobnem w nocy... Kłamiesz, jak najęty, powtarzam ci, bo złapałem cię zaraz na wstępie... A widzisz... Dziewczyna ta jest pod moim dachem właśnie... i tyś tego nie wiedząc, sądził, że ci się uda oszustwo... A co teraz?

Kosiara wybałuszył oczy.

— Jaśnie panie — zaczął — to niemożliwe...

Książę wściekły tupnął nogą.

— Ja, proszę jasnego pana... przysięgam na wszystko najświętsze, że mówię prawdę...

— A ja ci powtarzam, szubrawcze, że ta dziewczyna jest u mnie...

I wybiegł Czerski z pokoju.

Za chwilę Kosiara usłyszał jego głos na kurytarzu, kiedy do służby wołał pełen wzburzenia:

— Jakim sposobem mogła uciec...

Wrócił natychmiast z twarzą bladą, na całem ciele drżąc widocznie. Porwał Kosiarę za ramię i silnie potrząsając gnącym się wpół człowiekiem krzyczał:

— Dalej... co dalej... gadaj!

— Byłem tak przestraszony tem, bo sobie pomyślałem zaraz, iż wszystko musi się wydać, że w pierwszej chwili uciekłem... Ale potem zacząłem ją śledzić, żeby przeszkodzić przecież w porę, gdyby chciała zanieść trupa do cyrkułu, albo coś podobnego... Już ją dogoniłem nad Wisłą, ale akurat w samą taką chwilę, kiedy ją policyant aresztował i do cyrkułu odprowadzał, jako zabójczynię własnego dziecka...

Przy tych słowach swoich usłyszał Kosiara jakiś szelest za drzwiami i przerwawszy opowiadanie, rozejrzał się z przestrachem, wyobrażając sobie, że to w kurytarzu jest już policya. Ale uspokoił się zaraz, gdy się zoryentował, że szmery pochodziły z pokoju sąsiedniego. Książę tego nie zauważył. A Kosiara mówił dalej jeszcze:

— Naturalnie ona w policyi podała i mnie i jaśnie pana...

Czerski brwi ściągnął, skrami sypiąc z oczu.

— Chciałem więc jaśnie pana przestrzedz, iż grozi niebezpieczeństwo...

Już książę uczynił ruch gwałtowny ku człowiekowi, który odważył się cisnąć mu w oczy słowa podobne. Ale w mgnieniu oka pohamował się. Nie opuściła go wszelako wściekłość, jaka nim miotała pod wpływem przyniesionych przez Kosiarę wiadomości. Zaczął chodzić prędko po pokoju dużemi kroki, wreszcie, nagle przystanął i tonem, który nie znosi oporu, odezwał się:

— Uciekaj natychmiast... Zrób wszystko byle przedostać się za granicę... Najłatwiej będzie ci do Galicyi... A potem bez zwłoki zmykaj do Hamburga, tam wsiadaj na okręt do Ameryki... Zastaniesz w Nowym Jorku grubszą posyłkę pieniężną odemnie. Zresztą do Hamburga poślę ci na kartę okrętową...

Czerski, wypowiadając te urywane zdania, tak nacierał groźnie na Kosiarę, że ten cofał się ciągle ku drzwiom. Chciał coś odpowiadać, ale książę mówił jeszcze. A kiedy nakoniec prawie plecyma dotykał drzwi, otwarły się one i stary Jan wsunął przez nie głowę, szepcąc zalękniony:

— Jaśnie panie, przyjechał komisarz policyi...

Jak bomba podziałała ta nowina.

— Precz stąd, precz! – krzyknął Czerski na Kosiarę, poczem głos zniżając, dodał: — Uciekaj przez ogród, ukryj się prędko... niech Bóg uchowa, żeby cię miano odnaleść teraz w moim domu...

Poczem nie czekając, schwycił go gwałtownie za kołnierz, wepchnął do sąsiedniego pokoju i pośpiesznie wskazał, którędy ma wyjść na kurytarz i tylne schody do ogrodu, byle nie natknąć się na policyę.

Przez ten czas stary służący, wielce tem wszystkiem zaaferowany, drzwi za sobą zamknąwszy, wszedł do pokoju. Książę wrócił zaraz i odetchnąwszy, zwrócił się do niego:

— Poproś tutaj tego pana.

. . . .

Kosiara już po raz drugi tej nocy przekradał się przez ogród książęcego pałacu. Tym razem jednak, jakkolwiek już nie obarczony, jak wprzódy, ciężarem trupa — klął na czem świat stoi, mrucząc przez zęby:

— To jest wdzięczność... to jest podziękowanie za to, że go przestrzegłem... No, poczekaj ty... jasny panie — psubracie!... Ja ci tak samo potrafię się odwdzięczyć — mówił pod nosem, pełen złości, czując prawie jeszcze na karku rękę Czerskiego, gdy go ten za drzwi wypychał gwałtem.

Teraz Kosiara z bocznej ścieżki ogrodowej podniósł rękę gestem gniewnym i grożąc nią w stronę okien pałacu, wołał prawie głośno:

— Ja ci zapłacę... ja ci to popamiętam.... Żebym miał w turmie zgnić, a zemszczę się!

W tej chwili zmitygował się, własny głos usłyszawszy w ciszy wczesnego poranku.

Strach go ogarnął na myśl o niebezpieczeństwie, jakie groziło jemu samemu w wyższym stopniu, niźli Czerskiemu, wobec którego — w mniemaniu Kosiary — upadną wszelkie podejrzenia z miejsca, a śledztwo skieruje się w inną stronę...

— Nikt tej dziewczynie nie uwierzy, gdy będzie wskazywała na dom księcia... Zresztą Czerski w porę przezornie przygotowany na wizytę policyi, pozbędzie się komisarza w ciągu kilku minut raz na zawsze... Tylko księciem być... psia kość słoniowa!

Nadsłuchiwał przez chwilę, potem w krzakach się ukrył i postanowił przeczekać trochę.

— Gdyby był tak mnie łapówkę większą chciał dać od razu, a nie obiecywał przysyłać dopiero kędyś za światy... to i jabym umiał milczeć... Ale ty, psubracie, poczekaj, znajdę ja sobie na ciebie jakiś sposób. Popamiętasz ty mnie na ruski miesiąc. Tego ci nie daruję, albom ja głupi... Policyi to ty się wymigać potrafisz, dlatego żeś książę pan i milioner. Mnie się tylko nie wymigasz!

I znowu pięścią pogroził w stronę pałacu.

Poczem jął rozmyślać nad tem, czy Czerski sam może go zdradzić przed policyą. Lecz nabrał przekonania, że nie potrzebuje się tego obawiać.

— Jakkolwiek byłoby, to przecież książę mnie zna i chyba wie, że jabym wszystko na niego wyśpiewał, gdyby on tylko ważył się składać co na mnie... Co do tego zatem nie ma strachu. Ale z drugiej strony dziewczyna ta przecież mnie wydała, broniąc się w policyi... Skoro ją mają za zabójczynią dziecka swojego, to ona wszakże nie może nie powiedzieć, iż z moich rąk wydarła już trupka, kiedym go chciał pogrzebać w tym ogrodzie...

I naraz zadrżał pod wpływem tego przypomnienia, gdyż nagle uprzytomnił sobie, iż jeżeli tak ona zeznała w policyi, to nie ulega wątpliwości, że muszą zrobić rewizyę w ogrodzie.

— Po cóż tedy ja tu jeszcze jestem? A to ze mnie głupiec! Jego przestrzegałem, a sam się nie pilnuję, chociaż i on mi przecie zagroził, że nie mogą mnie w jego domu znaleść...

W tej samej chwili na tarasie pałacowym szmer się uczynił nagle.

Kosiara głowę podniósł, spojrzał w tę stronę i dostrzegł mundury policyjne.

W oczach mu się zaćmiło na myśl, że mogą go dostać tym razem, jego, którego nieraz szukali, tuż — tuż złapać mieli, a nie dosięgli jeszcze ani razu.

Miał słuszność książę, gdy go przestrzegał, iż powinien co prędzej uciekać dziś z Warszawy jak najdalej i to koniecznie za granicę — on który na sumieniu miał już tyle sprawek nieczystych i to takich zresztą, że wobec nich wcale do najgorszych nie należała historya z dzieckiem Marylki Reman...

Uciekać, uciekać za wszelką cenę i to bezzwłocznie... Ale jak uciec teraz, gdy policya jest już w ogrodzie... Na małą chwilkę przed ich wejściem na taras, byłby mógł był wygodnie opuścić ogród tyłami. Teraz zaś frontowe wyjścia ma zamknięte, a z tyłu nie wiadomo, czy bezpiecznie przełazić przez sztachety, skoro to nie lato w pełni, kiedy możnaby się zgubić w gęstwinie zieleni...

Wtem myśl nowa strzeliła mu do głowy.

Policya w tej chwili właśnie sprawdzała, którędy to przez okno mogła się dostać na ogród Marylka, ona to bowiem musiała zaraz w pierwszych zeznaniach opowiedzieć szczegóły, jakim sposobem natrafiła na ślad swego zamordowanego dziecka.

Ajent policyjny, który znajdował się w tym samym pokoju, gdzie Marylka nocą zamknięta spędziła kilka godzin mimowolnego snu, teraz spuszczał się oknem na taras, dla wykazania możliwości łatwej ucieczki matki dziecka.

Kosiara sięgnął do kieszeni po swoją procę. Był to jego własny wynalazek, nieraz do sprawek łotrowskich przydatny, a tak sprytny, że na znaczną odległość wyrzucać można było z tej procy nie jeden pocisk, ale dosłownie grad pocisków w upatrzonym kierunku. Nie tracąc czasu, podjął z ziemi kilkanaście kamyków, nabił niemi swoją kieszonkową armatkę, wycelował i strzelił w balkonik, wiszący na wysokości drugiego piętra nad tarasem, cały z wszystkich boków i z góry oszklony.



Baron w panicznej trwodze nie mógł dokładnie rozeznać odrazu szczegółów tej ciemnej postaci zmierzającej jak na złość w jego stronę, tylko mu się wyraźnie przywidziała bladowoskowa twarz trupa...

Proca nie zawiodła. Grad kamieni ugodził w upatrzony balkonik, z którego naraz z piekielnym hałasem wypadły wszystkie szyby, a całe stosy szkła z dźwiękiem przeraźliwym zaczęły zasypywać stojącą tuż pod owym fatalnym balkonikiem na tarasie policyę.

Z chwili nieopisanego zamieszania, jakie wywołała owa niespodzianka, skorzystał zręcznie Kosiara.

Zanim zaczęto rozmyślać nad tem, jaki mógł być powód tej katastrofy, zanim kto wpadł na pomysł, że całe szklane oszalowanie balkonu nie mogło samo z siebie runąć z góry na dół, lecz musiał ktoś od strony ogrodu zasypać szyby kamieniami i to nie jeden człowiek — według ogólnego zdania, tylko ręce niepojętych psotników z różnych stron jednocześnie, zanim tedy rzucono się na ścieżki ogrodu dla pościgu śledczego z nowych powodów — dawno już Kosiary nie było nawet w pobliżu.

Wtedy właśnie, gdy uciekał przez ogród, gdy potem przesadzał płot żelazny, nikt z tarasu nie obejrzał się nawet w tę stronę. Wśród brzęku szkła kroków uciekającego nie było słychać. A zresztą wszyscy szkłem zasypani, z podrapanemi boleśnie twarzami, zbiegłszy na placyk w ogrodzie przed tarasem, gapili się długo na rozwalony balkonik...

Dopiero gdy stary Jan z okien drugiego piętra zaczął wyrzucać kamyki, które przez drzwi szklane wpadły na podłogę pokoju przytykającego do szklanej lóżki, komisarz policyi zoryentował się, obtarłszy sobie z krwi kark szeroki, dobrze odłamkami szyb rozdrapany, że to z ogrodu musiano zamach taki urządzić...

Szukano wtedy już na próżno.

Na niczyje ślady nawet — rzecz szczególna — nie natrafiono, mimo, że był tam świeżo dwukrotnie Kosiara i że przed świtem była tam Marylka.

Tymczasem Kosiara już znajdował się w mieście bezpieczny. Zmieszał się w tłumie tak dobrze, iż niczyich nie budził podejrzeń.

Po drodze był mocno zajęty myślą, jak sobie ułożyć najlepiej plan niezwłocznej ucieczki za granicę, bez potrzeby powrotu do domu i bez konieczności użycia kolei już z samej Warszawy, co wszystko uznawał stanowczo za niebezpieczne, — gdy wtem przystanął zdziwiony niepomiernie.

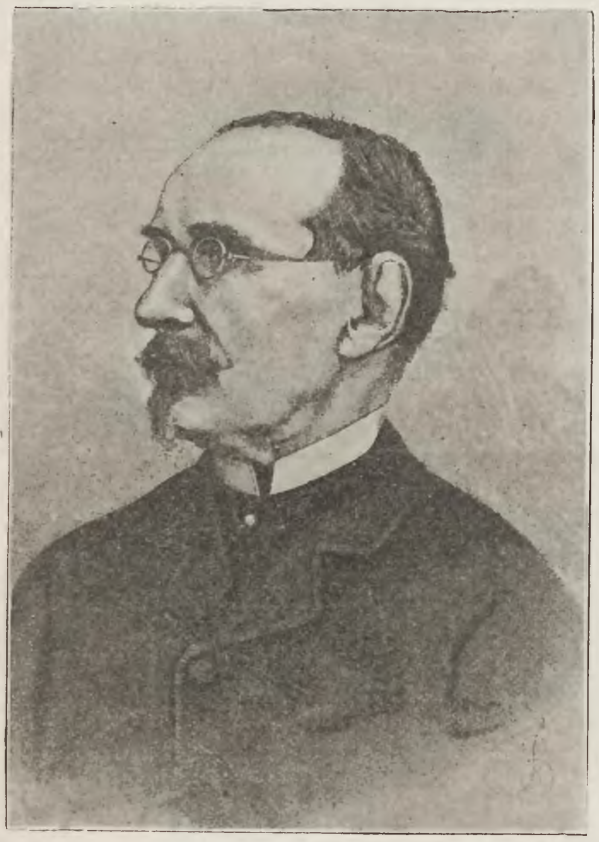
Znalazł się na Marszałkowskiej akuratnie przed domem, w którego dziedzińcu w głębi mieściły się biura cyrkułu policyjnego. Gdy miał chodnikiem mijać bramę tego domu, zatrzymała się przed nią zwykła dorożka jednokonna, z której wysiadła młoda i ładna panna służąca. Towarzyszka jej zaś pozostając nadal w dorożce, mówiła do swej pokojowej:

— Więc moje dziecko, odnaleść musisz koniecznie tę biedaczkę... Gdybyś widziała, że mnie tam potrzeba, przybiegnij po mnie: zostaję w dorożce, dopóki nie powrócisz... Ja muszę uwolnić tę nieszczęśliwą kobietę...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zgon nestora naszego powieściopisarstwa.

W ubiegłym tygodniu zmarł w Krzywczy nad Sanem w Galicyi Jan Zacharyasiewicz, poeta, powieściopisarz i publicysta, którego imię złotemi zgłoski zapisało się na kartach naszej literatury Zgasł cicho, w zacisznej wiosce swego krewnego,



Zgon nestora naszego powieściopisarstwa: Jan Zacharyasiewicz, znakomity powieściopisarz, zmarły w ubiegłym tygodniu w Krzywczy nad Sanem.

p. Bolesława Jocza, u którego przepędził ostatnie lata pracowitego żywota.

Zacharyasiewicz, którego portret obok zamieszczamy, urodził się w roku 1825 w Radymnie w Galicyi. Były to czasy dla Galicyi bardzo ciężkie. Biurokracya austryacka, opętana nienawiścią do Polaków, podszczuwała jedne warstwy i tak już nieszczęśliwego narodu na drugie, tłumiła środkami represyjnymi wszelką myśl polską, której się bała jak czerwonego dyabła. Wystarczało czytać po polsku, czuć, myśleć po swojemu, aby być podejrzanym o knowania przeciwrządowe. Tej dziecinnej podejrzliwości austryackich biurokratów padł ofiarą Zacharyasiewicz już jako studencik. W roku 1842 osadzono go wraz z innymi kolegami w twierdzy spielberskiej, gdzie przepędził dwa lata, nie wiedząc prawdopodobnie za co, bo jakimże zdrajcą stanu mógł być wyrostek, liczący wówczas lat 17?

Uwolniony z więzienia przybył do Lwowa, gdzie odrazu porwał go z sobą wir demokratyzacyi społeczeństwa, jaki, przedostawszy się do nas z nad Sekwany, nurtował całą młodzież lwowską. Wtedy już rozpoczął Zacharyasiewicz pracę literacką i publicystyczną, ale widocznie nie miał szczęścia podobać się biurokracyi austryackiej, bo uwięziono go znów po raz drugi i zamknięto na dwa lata w twierdzy Theresienstadt.

Więzienie wywarło na niego fatalny wpływ. Nie mając tam bowiem nic innego pod ręką, karmił się młody więzień literaturą niemiecką, aż się nią przejął tak dalece, że jego język, i składnia nawet w pierwszych powieściach przypominały wpływ niemiecki. Dopiero po roku 1870 zaczął pod wpływem częstych pobytów w Warszawie pisać poprawnie.

Działalność twórczą zaczął Zacharyasiewicz od mowy wiązanej, ale wkrótce zabrał się do beletrystyki, która mu miała zapewnić imię w literaturze. Jako powieściopisarz był dwulicowym: romantykiem i realistą. Romantyzm ozłacał jego lata chłopięce „górne i chmurne“, realizmu nauczyły go lata dojrzałe. Drobiazgowy obserwator, trzeźwy myśliciel, nie zapomniał nigdy, że pławił się jako młodzieniec w blaskach romantyzmu uczucia, toteż marzenie i fantazya dopełniały uważnego obserwatora.

Jego pierwsze nowele i opowiadania były — jak zwykle pierwsze płody młodych — słabe. Dopiero powieść „Na kresach“, wydana w roku 1860. zdobyła mu powszechne i zasłużone zupełnie uznanie, W powieści tej, bardzo swojego czasu poczytnej, rozgłośnej, wskazał Zacharyasiewicz pierwszy „niebezpieczeństwo germańskie“, grożące w szczególności Wielkopolsce. On to pierwszy zwrócił uwagę na germanizatorów — późniejszych hakatystów — pierwszy zatrąbił na alarm. Powieść ta była dziełem nie tylko wysoce artystycznem, ale i wysoce obywatelskiem. Drugą powieścią, która obiegła cały kraj, witana wszędzie z radością, był „Święty Jur“ obraz stosunków rusińskich w Galicyi. W powieści tej nawoływał Zacharyasiewicz do zgodnego, polubownego załawienia sporu między Polakami a Rusinami. Wogóle Zacharyasiewicz, który pod względem płodności rywalizował nawet z Kraszewskim, tworzył łatwo i bardzo szybko. Do talentów pierwszorzędnych nie należał, ale jako beletrysta średniej miary służył krajowi dobrze i pożytecznie, a przedewszystkiem uczciwie.



Zgon nestora naszego powieściopisarstwa: Kondukt pogrzebowy ze zwłokami ś. p. Zacharyasiewicza przed domem żałoby w Krzywczy. Za karawanem postępują delegacye, oraz liczna drużyna obywatelstwa okolicznego.

Pogrzeb odbył się w Krzywczy przy bardzo licznym udziale okolicznej szlachty, obywatelstwa i ludu z ks. Władysławem Sapiehą na czele. Zwłoki eskortował miejscowy proboszcz grecko-katolicki — ks. Padoch i miejscowy proboszcz rzymsko-kat. ks. kanonik Solecki przy udziale bardzo licznego duchowieństwa obu obrządków. Nad grobem przemówił burmistrz rodzinnego miasta zmarłego, Radymna.

Załączone, oprócz portretu, illustracye, przedstawiają: jedna kondukt pogrzebowy na rynku w Krzywczy w chwili wyprowadzenia zwłok z cerkwi, druga zaś kondukt na cmentarzu w chwili przemówienia burmistrza z Radymna.



Zgon nestora naszego powieściopisarstwa: Kondukt pogrzebowy na cmentarzu w Krzywczy. Nad otwartą mogiłą ś. p. Zacharyasiewicza przemawia burmistrz miasta Radymna, w którem autor „Św. Jura“ ujrzał światło dzienne.

Awans w bibliotekach uniwersyteckich.

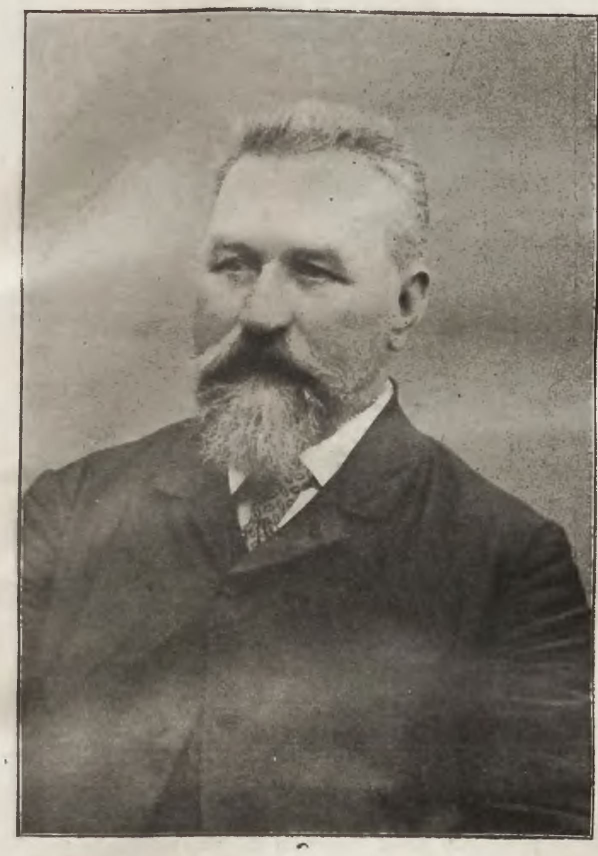
Ubiegły tydzień przyniósł aż pięć mianowań w obu bibliotekach uniwersyteckich Galicyi, we Lwowie i w Krakowie.

W bibliotece uniwersyteckiej we Lwowie powołano na stanowisko kustosza dotychczasowego skryptora tejże biblioteki dra Bolesława Mańkowskiego. Dr. Mańkowski, urodzony 1852 r. w Lubaczowie w Galicyi, ukończył we Lwowie gimnazyum i uniwersytet, potem pracował przez dwa lata w bibliotece hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego. W r. 1877 uzyskał stypendyum na wyjazd za granicę i udał się do Lipska, a następnie do Berlina, gdzie studyował filozofię ścisłą i pedagogię. Po powrocie do kraju otrzymał posadę bibliotekarza i archiwaryusza u ks. Adama Sapiehy w Krasiczynie. Po paroletnim tam pobycie przybył do Lwowa, pracował przez dwa lata jako zastępca nauczyciela w jednem z gimnazyów, a uzyskawszy stopień doktora filozofii, wstąpił do służby w bibliotece uniwersyteckiej i awansując kolejno, został obecnie mianowany kustoszem.

Dr. Mańkowski jest ponadto docentem pedagogii na uniwersytecie lwowskim i od szeregu lat naczelnym redaktorem czasopisma „Muzeum“. Pomieszczał też wiele artykułów w „Przeglądzie ty-

godniowym“ i innych pismach naukowych, jest też autorem kilkunastu rozpraw naukowych, głównie z zakresu pedagogiki.

Następcą dra Mańkowskiego na stanowisku skryptora jest dr. Eugeniusz Barwiński. Młody ten uczony — liczy bowiem dopiero 33 lat — pracuje od 11 lat w bibliotece uniwersyteckiej,



Awans w bibliotekach uniwersyteckich: Dr. Bolesław Mańkowski, mianowany kustoszem biblioteki uniwersyteckiej we Lwowie.

do której wstąpił po ukończeniu studyów na wydziale filozoficznym uniwersytetu krakowskiego i po studyach w archiwach krakowskich i wiedeńskich. W bibliotece krakowskiego uniwersytetu kieruje dr. Barwiński oddziałem rękopisów. Pan Barwiński jest historykiem gorliwie pracującym nad wyjaśnieniem wielu zawiłych kwestyj, odnoszących się do dziejów Polski — jakkolwiek sam jest z pochodzenia Rusinem. Z dotychczas wydanych prac jego wymienić należy: „Przymierze polsko-austryackie 1613“, „Stosunki Zygmunta Starego z wojną szmalkaldzką z czasów Zygmunta III.“, oraz katalog inkunabułów (rękopisów z XV. w.) biblioteki lwowskiej. Ponadto wiele jego prac pomieścił „Kwartalnik historyczny“, gdzie jest stałym referentem działu bibliografii historyi polskiej.

Wycieczka z Zagłębia Dąbrow. w Krakowie.

Z nastaniem wiosny zaczynają do Krakowa z dniem każdym napływać setki wycieczek z najrozmaitszych stron Polski. Niby te ptaki, lecące z obczyzny do naszych łąk i naszych lasów, garną się dzieci rozdartej w trzy części Ojczyzny pod macierzyńskie skrzydła wawelskiego grodu, gdzie co krok mówi do nich przeszłość w marmurze i granicie wykuta, mówi głosem wielkim, bo głosem minionej potęgi i chwały, krzepiąc dusze mocą, bijącą z niewzruszonych, skalnych urwisk Wawelu.

W ubiegłą niedzielę podejmowała „Czytelnia robotnicza i rzemieślnicza imienia Kilińskiego“ wycieczkę robotniczą z Zagłębia Dąbrowskiego. Członkowie Czytelni przyjęli wycieczkę z otwartemi ramiony i dokładali wszelkich starań, aby braciom z za kordonu pokazać wszystkie godne widzenia zabytki Krakowa. Wycieczka zwiedziła więc Wawel, kościół N. P. Maryi, kilka innych kościołów, muzeum narodowe, bibliotekę Jagiellońską itd. Goście zakordonowi okazywali nadzwyczajne zajęcie na każdym kroku, oglądali wszystko bardzo skrupulatnie, drżąc nieraz ze zrozumiałego łatwo wzruszenia. Wynieśli też zapewne z Krakowa wrażenia jak najlepsze, wrażenia, których nic zatrzeć nie zdoła, bo Kraków to faktycznie serce Polski i kto się raz w nim znajdzie, ten chwil, w nim przeżytych, nigdy nie zapomni.

Na załączonej obok illustracyi podajemy Czytelnikom fotografię wycieczki z Zagłębia w gronie członków „Czytelni Kilińskiego“, którzy służyli gościom za przewodników, zdjętą na Rynku krakowskim u stóp pomnika Mickiewicza.

Otwarcie sezonu oddziału kolarskiego „Sokoła“ w Krakowie.

W ubiegłą niedzielę odbyła się pierwsza w tym roku wycieczka kolarskiego oddziału „Sokoła“ w Krakowie. To otwarcie sezonu udało się nadspodziewanie dobrze, tak pod względem ilości osób, jak i zabawy, co widać choćby na załączonej obok rycinie, zdjętej na kwadrans przed wyruszeniem oddziału z przed gmachu „Sokoła“ w drogę.

Oddział Sokołów-kolarzy liczy obecnie siedmdziesięciu kilku członków, między nimi dwie panie. W wycieczkach na kołach bierze jednak udział zawsze po kilka pań, należących do rodzin członków. W ubiegłym roku obchodził oddział dziesięciolecie swego istnienia, tem zasłużeńsze, że przez kilka lat było to jedyne ognisko sportu kołowego w Krakowie.

Dla podtrzymania życia sportowego i zamiłowania jako sportu jazdy kołowej, urządza oddział co roku kilkanaście wspólnych urozmaiconych wycieczek, które co rok mają większą liczbę uczestników; urządza wyścigi wiosenne i jesienne, w których najważniejszy jest bieg 30 kilometrów o „mistrzowstwo Oddziału“ za rok ubiegający. U-



Awans w bibliotekach uniwersyteckich: Dr. Eugeniusz Barwiński, mianowany skryptorem biblioteki uniwersyteckiej we Lwowie.

rządza dalej w jesieni każdego roku 100-kilometrową wycieczkę do Chełmka i z powrotem, w której, przebywający tę drogę w 8 godzinach, otrzymują nagrody. Wycieczka ta ma być niejako egza-



Fot. dla „Nowości Illustr.“ aparatem redakcyjnym W. Lis.

Wycieczka z Zagłębia Dąbrowskiego w Krakowie: Robotnicy z Zawiercia i innych miejscowości Zagłębia Dąbrowskiego, którzy przyjechali dla zwiedzenia Krakowa, zebrani na stopniach pomnika Mickiewicza, w otoczeniu swoich przewodników, Członków „Czytelni im. Kilińskiego“.

minem tęgości i wytrwałości sokolich jeźdźców kolarskich. Zarząd oddziału rozdaje również nagrody za wycieczki turystyczne w określonej regulaminem ilości kilometrów. Dzięki energii Zarządu Oddział rozwija się też z każdym rokiem.

Wycieczka w ubiegłą niedzielę była inauguracyą obecnego sezonu kolarskiego. Stawiło się też dużo członków, którzy przy sprzyjającej pogodzie dojechali do Zabierzowa do Skały Kmity, która była celem wycieczki.

Dzień przed otwarciem sezonu odbyło się walne zebranie Oddziału, na którem obrano naczelnikiem p. Fr. Eberta, zastępcą naczelnika p. M. Karpińskiego, I. kapitanem jazdy p. L. Skazę, a drugim p. L. Kowalskiego, sekretarzem p. S. Ciosińskiego, gospodarzem p. G. Holoubka, a do zarządu pp. E. Bajorka, J. Dutkiewicza, W. Micińskiego i S. Rudego.



Fot. dla „Nowości Illustr.“ aparatem redakcyjnym W. Lis.

Otwarcie sezonu Oddziału kolarskiego „Sokoła“ w Krakowie: Członkowie sokolego oddziału kolarskiego w Krakowie, zebrani przed gmachem Sokoła, wybierają się w drogę na pierwszą w tym roku wycieczkę kołową do Zabierzowa.

Wystawa bydła we Lwowie.

Staraniem komitetu galicyjskiego Towarzystwa gospodarskiego, urządzoną została we Lwowie w pierwszych dniach ubiegłego tygodnia bardzo interesująca wystawa bydła rozpłodowego i nierogacizny. Pomieszczono ją na targowicy rzeźni miejskiej w kilku murowanych stajniach i w kilku pawilonach. Wystawa ta, zarówno pod względem ilości okazów, jak ich wartości, przeszła wszelkie oczekiwania i dała dowód, iż hodowla bydła stanęła w kraju dzięki opiece Towarzystwa gospodarskiego bardzo wysoko, dała dowód, iż praca towarzystwa gospodarskiego nie poszła na marne, że subwencye zostały należycie użyte, w szczególności zaś, że nastąpił duży postęp w kierunku uszlachetnienia i ujednostajnienia krajowego chowu bydła, nietylko w gospodarstwach wielkich, ale i włościańskich. W wystawie uczestniczyło 133 wystawców bydła i 21 wystawców trzody chlewnej. Przeważna ilość okazów bydła była rasy Simmenthalerskiej (467 sztuk na 772), mniej Oldenburgów (141 sztuk), Anglerów z Dublan (12 sztuk) 10 siwych Allgasierów i 14 Szwyców. Wśród nierogacizny przeważały Yorkshiry, kilkanaście sztuk było rasy westfalskiej.

Wśród okazów, nadesłanych przez włościan, zwracało uwagę ogólną bydło z powiatu nadwórniańskiego, zwłaszcza z Kamiennej, zarówno dla wielkości, jak piękności niepospolitej. Cała wystawa musiała podobać się każdemu zwiedzającemu ją, zarówno znawcy, jak laikowi. To też już w pierwszym dniu publiczność przybyła ogromnie licznie, aby zapoznać się ze stanem hodowli bydła w kraju, przybył też w tym samym celu minister rolnictwa Buquoy, który po szczegółowem zwiedzeniu wystawy, nie miał dość słów pochwały dla piękności wystawionych okazów i uznania dla zasług towarzystwa gospodarskiego.

W numerze dzisiejszym pomieszczamy zdjęcie fotograficzne, przedstawiające komitet wystawy.

Warszawscy redaktorowie posłami.

Drugi z rzędu publicysta i literat warszawski, gdyż do niedawna jeszcze członek redakcyi „Kuryera Warszawskiego“, p. Czesław Jankowski wybrany został na posła z gubernii wileńskiej, już jako redaktor tamtejszego „Kuryera Litewskiego“, stojącego wraz z reprezentowanem przez się stronnictwem pod patronatem JE. biskupa wileńskiego ks. Edwarda Roopa.

Co prawda, dzisiejszy poseł z niejednego pieca politycznego chleb jadał — bo zacząwszy swą karyerę literacko-publicystyczną w Warszawie i tu zyskawszy imię wydawanemi zbiorkami swych po-



Fot. dla „Nowości Illustr.“ M. Münz, Lwów.

Wystawa bydła we Lwowie: Komitet, urządzający wystawę, zebrany przed pawilonami wystawowymi.

ezyj (w r. 1879, 1881, 1884) nowel i monografij, zaś stanowisko w „Kuryerze Warszawskim“, nie wahał się oddać swych usług na dłuższy nawet czas skrajnie ugodowemu pismu „Kraj“, w chara-



Warszawscy redaktorowie posłami: Czesław Jankowski, do niedawna członek redakcyi „Kuryera Warszawskiego“, wybrany został na posła z gubernii wileńskiej, jako redaktor tamtejszego „Kuryera Litewskiego“.

kterze „sekretarza“, dzięki czemu przesiedlił się był do Petersburga. Powrócił też przed trzema laty do Warszawy z tej Piltzowskiej kuźni na wskróś „ugodowej“, nie bez pewnych już rażących „naleciałości“, nie bez pewnej giętkości pojęć i przekonań politycznych, podatnych i gotowych zawsze już w kierunku bankrutującej „ugody“. Naleciałością tą trąciły już, jeśli nie raziły jeszcze artykuły jego, pisane za drugim nawrotem w „Kuryerze Warszawskim“ mimo, że jak dawniej odznaczała je erudycya literacka i talent. Po roku przeniósł się do Wilna, gdzie jako redaktor „Kuryera Litewskiego“ znalazł bardziej odpowiedni dla siebie grunt i poparcie wpływowego biskupa, tak, że otrzymał i mandat poselski.

Jankowski liczy lat 48, urodził się w Polanach (powiat Oszmiański gub. litewska) kształcił się w Mitawie, na uniwersytet zaś uczęszczał w Warszawie i Krakowie.

Wśród wydanych jego dzieł są „Poezye“, „Capricioso“, „Rymów nieco“, prozą „Arabeski“, „Z notatek turysty“, „Po Europie“, „Monografia powiatu Oszmiańskiego“, „Korespondencya Radziwiłła Panie Kochanku“, „Sześćset lat stosunków polsko-pruskich“. Tłumaczył też wiele dzieł obcych.

Anarchiści rosyjscy w Paryżu.

W ubiegłym tygodniu przyniosły depesze sensacyjną wiadomość o wybuchu bomby w lasku de Vincennes pod Paryżem. Bombę nieśli dwaj młodzi ludzie, jak się później okazało, anarchiści. Jeden z nich, niejaki Striga, miał przy sobie trzy małe bomby, z których jedna nagle eksplodowała i rozdarła mu brzuch, tak, że wnętrzności wyszły na jaw. Towarzyszowi jego, Sokołowowi, wybuch oderwał nogę.

Tak brzmiały lakoniczne doniesienia o tej bądź co bądź zagadkowej sprawie, nie rozjaśniając zupełnie po co i dla kogo obaj młodzi Rosyanie nieśli bomby. Faktem było jedynie, że wybuch pociągnął za sobą śmierć młodego człowieka i ciężkie kalectwo drugiego.

Sprawa wybuchu przybierała z dniem każdym coraz większe rozmiary i stawała się coraz bardziej tajemniczą. Policya wytężyła wszelką energię, aby stwierdzić przynajmniej tożsamość zabitego przez bombę, ale usiłowania jej nie wydały rezultatu zadawalniającego. Dowiedziano się dopiero w kilka dni po katastrofie, że właściwe nazwisko Strigi było Iwanow, a Striga miało być tylko mianem partyjnem. Striga nie był nawet podobno anarchistą, lecz rewolucyjnym socyalistą i miał prawdopodobnie zamiar przewieść bomby do Rosyi. Ale to wszystko dzisiaj jeszcze nie jest pewnem. Stwierdzono natomiast, że drugi, raniony wybuchem, nazywa się Aleksander Sokołow, liczy lat 25 i jest Rosyaninem. Mówi on częścią po rosyjsku, częścią po niemiecku, tak, że sędzia śled-



Anarchiści rosyjscy w Paryżu: Rewolucyonista rosyjski Striga, który zginął od wybuchu bomby przez siebie niesionej, (wraz ze swą narzeczoną)

czy, badając go w szpitalu, musiał się z nim porozumiewać przy pomocy tłómacza. Sokołow mieszkał razem ze swym bratem Wiktorem, który od lat kilku studyuje w Paryżu medycynę, u młodej jeszcze, bo 21 lat liczącej Rosyanki, Zofii Sperańskiej.

Rewizya, dokonana w ich mieszkaniu, nie wyświetliła w zupełności tajemniczej sprawy wybuchu bomby. Znaleziono tam mnóstwo dokumentów, adresów i chemikaliów, co spowodowało policyę do przypuszczenia, że tak bracia Sokołowowie, jak Sperańska i Striga byli anarchistami. Na mocy tego podejrzenia wszystkich aresztowano.

Z zeznań rannego przy wybuchu Sokołowa doszła policya do przekonania, a później nawet zebrała dowody, że Striga i Sokołow należeli do szeroko rozgałęzionego w Paryżu spisku rewolucyonistów rosyjskich, który miał na celu wysadzenie w powietrze przedewszystkiem gmachu ambasady rosyjskiej, następnie pałacu wielkiego księcia Włodzimierza i w. księcia Borysa, a zwłaszcza w. księcia Aleksego, jako też domu szeregu arystokratów rosyjskich, mieszkających stale w Paryżu, a zna-



Anarchiści rosyjscy w Paryżu: Zwłoki Strigi, zabitego wybuchem bomby, na miejscu katastrofy po przybyciu tamże komisyi śledczej.

nych ze swego reakcyjnego nastroju. Być więc może, że Striga i Sokołow byli tymi, którzy mieli dać hasło rozpoczęcia działalności dla spiskowców.

Przypuszczenie to jest o tyle prawdopodobnem, że studenci rosyjscy w Paryżu stanowią wogóle ferment rewolucyjny, na który policya stale zwraca uwagę. Ponieważ zaś ciąży na nich stale oko tajnej policyi rosyjskiej, przeto większość z nich podaje się nawet za Polaków, uchodzących za bardziej lojalnych i wyjętych z pod tej bądź co bądź przykrej opieki.

Zamieszczone obok illustracye przedstawiają: jedna grupę aresztowanych przyjaciół Strigi, a mianowicie Wiktora Sokołowa, Zofię Sperańską i Aleksandra Sokołowa, druga fotografię Strigi wraz z narzeczoną. Na trzeciej illustracyi widzimy miejsce wybuchu bomby w Bois de Vincennes w chwili, kiedy dyrektor laboratoryum chemicznego bada miejsce i resztki bomby, czwarta zaś i piąta illustracya przedstawiają trupa Strigi tak, jak go znaleziono po katastrofie.



Anarchiści rosyjsy w Paryżu: Przyjaciele anarchisty Strigi, który zginął od wybuchu bomby, aresztowani po dokonaniu rewizyi w ich mieszkaniu. Pierwszy po lewej Wiktor Sokołow, w środku Zofia Sperańska, po prawej Aleksander Sokołow, któremu wybuch bomby oderwał nogę.



Anarchiści rosyjscy w Paryżu: Miejsce w Bois de Vincennes koło Paryża, gdzie wskutek wybuchu bomby zginął na miejscu rewolucyonista rosyjski Striga, który niósł bombę, a towarzysz jego Sokołow został ciężko raniony.



Anarchiści rosyjscy w Paryżu: Zwłoki zabitego Strigi w chwili znalezienia je w Bois de Vincennes.

Zbrodnia za zbrodnią

Sensacyjna powieść kryminalna.

9 Przerobił J. R. Ciąg dalszy.

Pół nieprzytomna ze strachu opadła na ścianę i krzykła raz jeszcze, ale głos jej przebrzmiał bez echa w obszernych zabudowaniach młyna.

— Robercie, na rany Boskie, ratuj mnie!

Ale Jan Barrison zamknął drzwi i w odpowiedzi na jej krzyk począł się śmiać szatańskim iście śmiechem.

— Na czyjąże ty pomoc czekasz? Przecież nie na pomoc Roberta Wildinga — bo spadłabyś z deszczu pod rynnę!

Pomimo trwogi, jaka nią całą owładła, wzdrygnęła się Erna, kiedy klown wymienił to nazwisko.

Robert Wilding?

Czyż ta blada, biedna żebraczka, która Roberta Pardue uważała również za swego małżonka, nie wymieniła jej tego samego nazwiska? Ale nie miała jej czasu, aby się nad tem zastanawiać, bo Jan zagadnął ją w tej chwili:

— Słuchajże więc, moja gołąbeczko, daję ci jeszcze jeden dzień do namysłu. Wrócę tu jutro wieczór, ale do tego czasu musisz się już zdecydować.

Nie zdołała jeszcze zebrać myśli, kiedy klown rzucił się nagle na rewolwer, który leżał na ziemi, podniósł go i z szyderczym śmiechem schował do kieszeni.

— Dzisiaj cię dłużej męczyć nie będę — rzekł, widząc, iż odwróciła się od niego z pogardą. Podszedł ku drzwiom, ale wrócił się raz jeszcze.

— Sądzę, że mój najdroższy skarb namyśli się do jutra. Mam nadzieję, że jutro wieczór sama mi wpadniesz w ramiona, bo ostrzegam cię raz jeszcze, że żartować ze mną ci się nie opłaci!

Erna nie spojrzała nań nawet, nie odpowiedziała mu ani słowa, tylko dziwny smutek i ból rozsiadł się na jej bladej twarzyczce.

Klown, widząc, że nic nie wskóra, rzekł ironicznie:

— Do miłego widzenia! — i wyszedł.

Erna usiadła znowu na ławce. Nie mogła już płakać nad sobą i strasznem swojem położeniem, bo oczy miała gorące i suche, a w mózgu jej zdał się żarzeć ogień. Podparła głowę rękoma i siedziała tak jakiś czas w milczeniu. Wreszcie znużona wsparła się na stole, a z piersi jej wydarło się głuche, bolesne łkanie.

Biedna, młoda kobieta, jakże się nie miała bać dnia przyszłego!

Nie myślała jednak teraz o jutrze. Powstała nagle, ręce wzniosła ku niebu, oczy skierowała w górę, niewinne, śliczne oczy dziecka i zaczęła mówić urywanym z bólu głosem:

— Boże, mój Boże! Za co ja tyle cierpię!? Ześlij mi przynajmniej pewność, co mnie czeka. Ta nieszczęśliwa kobieta, która mnie błagała, bym jej oddała męża, nie schodzi mi z pamięci. Wprawdzie mogła ona być wysoce egzaltowaną, ale w żaden sposób nie mogę przypuścić, aby była waryatką. Ona twierdziła, że mój mąż, który ma być także jej mężem, nie nazywa się Robert Pardua, ale Robert Wilding — a teraz — wszechmocny Panie, słyszałam jego głos, zupełnie jego głos, potem zaś powiedziano mi, że słyszałam głos Roberta Wildinga, nie mojego męża.

Jakże tu wyjść z tego? Czyż to możliwe, żeby na świecie znajdowało się dwóch ludzi, zupełnie do siebie podobnych, i nie tylko podobnych, ale mających nawet tensam dźwięk głosu?

Myśli mi się mącą — — to przecież być nie może, to niemożliwe, abym ja była żoną intryganta. Boże mój! Nie przeżyłabym tego, gdybym, aby jeno wypełnić ostatnią wolę matki, wpadła w ręce oszusta!

Urwała i westchnęła głęboko, poczem wybuchła rozpaczną skargą:

— Boże, Ty, co czytasz w sercach ludzkich, Ty wiesz przecie, ile mnie to kosztowało, że oddałam rękę hrabiemu Pardua, podczas gdy serce moje rwało się do innego.

Oczy jej zaszły mgłą, a duże łzy stoczyły się jej po bladych policzkach.

Załamała ręce i szeptała:

— Serce mi się wtedy rwało w kawały, kiedy ten, którego całą potęgą pierwszej miłości kochałam, siedział przy mojem łóżku i czuwał nademną przez noc. Co się wtedy nie namęczyłam, żeby jeno nie stracić spokoju! Chciało mi się krzyczeć głośno z niewypowiedzianego bólu, jaki mi duszę ścisnął, kiedym usłyszała, że doktór Stürmer mnie kocha! Zdawało mi się przedtem, że on zupełnie na mnie nie zwraca uwagi, że nie myśli o niczem innem, jeno o swoich chorych — a on, kiedy sądził, że jestem nieprzytomna, w bólu swoim wygadał się sam. — Teraz już było zapóźno, już dla mnie nie było powrotu — byłam narzeczoną innego. Matka jeno musiała się cieszyć, boć przecie zabrała ze sobą do grobu moje przyrzeczenie, iż będę żoną hrabiego Parduy!

Urwała przestraszona i trwożnie oglądnęła się wokoło.

— Żeby mnie przynajmniej nikt nie słyszał — szepnęła, widząc, że powiedziała o wiele więcej, aniżeli była powinna, że odsłoniła najtajniejszą głąb swojej duszy.

Upadła na kolana i zaczęła się gorąco modlić. Prosiła Boga o przebaczenie, że, będąc żoną hrabiego Parduy, śmie jeszcze kochać Stürmera, prosiła, by jej Bóg pomógł zniszczyć tę miłość w jej sercu, bo niewierną żoną być nie chciała, a zdało jej się, że nią jest, kochając innego.

— Boże, wyrwij tę miłość z mego serca! — błagała przez łzy.

Ale czyż nie Bóg zsyła miłość w duszę ludzką? Czyż więc może w niej być coś złego? Tak samo trudno jest pożądać, by człowiek mógł wysuszyć ocean, jak nadaremną jest praca nad wytępieniem miłości z serca ludzkiego — bo musiałoby się chyba wyrwać serce z piersi, ale i toby nie pomogło, bo miłość jest wieczna i przetrwać może życie człowieka.

Czemuż jednak doktór Stürmer nic jej nigdy nie mówił o swojej miłości? Może być, że miłość ta wyrosła w jego sercu nagle i nieświadomie, tak samo jak u Erny, że sam nie wiedział, jak się to stało.

Doktór Stürmer i Erna to były dwie zupełnie jednakie dusze, dwa jednakie zupełnie charaktery. On kochał ją całą siłą swego męskiego, silnego a wiernego serca, ona zaś, w swej trwożliwej, niewinnej duszy dziecka czuła ku niemu niewypowiedziany pociąg; była zanadto nieśmiałą, aby mu wyjawić głąb swego serca, a on nie odważył się mówić o swojej miłości; nie był pewnym swego, a nie chciał jednym zamachem burzyć tkanki najcudniejszych snów.

Raz tylko, jeszcze za życia radczyni Solms, zdecydował się zwrócić jej uwagę na swoje zamiary. Radczyni jednak zbiła go z tropu, pytając wspaniałomyślnie, jakby go zupełnie nie zrozumiała:

— Nie prawdaż, panie doktorze, że moja Erna ma w sobie coś dystyngowanego, coś arystokratycznego?

I nie dając mu wcale przyjść do słowa, ciągnęła dalej:

— W najbliższej przyszłości zaręczę ją też z niejakim hrabią, z hrabią Pardua. Przecież Erna będzie się wspaniale prezentować, jako hrabina — nie prawda, panie doktorze?

Adolf Stürmer połknął gorzką pigułkę, ale zdawało mu się, że się nią udławi. Wkrótce potem, może w jakiś tydzień, radczyni Solms umarła. Kiedy wówczas przyszedł z kondolencyą i zobaczył Ernę, jak z twarzą bladą od smutku i aż wydłużoną od bólu, stała przy trumnie matki, zdawało mu się, że powinien jej główkę przycisnąć do piersi, utulić ją przy sobie i powiedzieć:

— Wypłacz się na mojem sercu, patrz, ja cię tak kocham, tak bardzo kocham — ja ci wszystko zastąpię, nawet tę zmarłą — ale w tej chwili weszła Elżbieta i słowa zamarły mu na ustach.

W kilka dni później musiał wziąć udział w jednej z lekarskich naukowych ekspedycyj, a kiedy po powrocie zobaczył Ernę po raz pierwszy — dziewczyna była już narzeczoną innego.

Jak strasznie cios ten uderzył młodego człowieka, widzieliśmy to już przedtem. Zamknął się sam w sobie, nie odzywał się całemi dniami do nikogo, a jeżeli mówił, to tylko tyle, ile musiał mówić przy wizycie do swoich pacyentów. Jakaś głucha melancholia rozsiadła się na jego pięknej twarzy. Matka nie widziała już więcej jego uśmiechu i troskała się w sercu o niego, bo ubóstwiała go prawie, a nie mogła się domyśleć przyczyny jego smutku.

Pewnego razu, kiedy razem siedzieli przy herbacie, patrzała nań długo badawczym wzrokiem, wreszcie potrząsła głową i rzekła:

— Wiesz ty, Adolfie, że mnie teraz srodze martwisz? Stajesz się z dnia na dzień bledszy, nie jesz prawie nic — we dnie jedziesz do swoich pacyentów, a kiedy wieczorem powrócisz znużony, to zamykasz się w swoim gabinecie i czasem rano dopiero kładziesz się do łóżka! Tak, tak, moje dziecko, poznałam to po lampie, w której nafta zawsze jest wypalona. Mój Adolfie — tak dalej być nie może!

— Co być nie może, moja dobra, kochana mateczko? — zapytał syn.

— Wiesz dobrze, o czem myślę. Jak tak dalej pójdzie, to jeszcze zachorujesz kiedy i będziesz musiał leczyć sam siebie, tak, tak — kończyła, podając mu filiżankę herbaty. Naraz stanęła i głaszcząc jego bujną czuprynę, rzekła:

— Mam ci, jako matka, udzielić porady?

Doktór Stürmer bawił się łyżeczką, jakby już z góry wiedział, co usłyszy.

— Ożeń się — wprowadź w dom kochaną i kochającą kobietę, która ci smutek z czoła spędzi...

Urwała — Adolf podniósł na nią oczy tak pełne smutku i boleści, tak niewypowiedzianie smutne, że zadrżała aż na całem ciele i już poczęła żałować tego, co powiedziała — a w duszy jej zbudziło się naraz głuche przeczucie.

Adolf jednak powstał i wyszedł do swego gabinetu. Za chwilę dał się słyszeć dzwonek — zawezwano lekarza do chorego. Było to w tensam wieczór, kiedy znalazł na drodze zasypaną śniegiem biedną Wildingową i przywiózł ją do domu.

Powróćmy jednak do Erny. Nieszczęśliwe dziecko — bo dziecko to jeszcze było, nie kobieta — starało się ze wszelkich sił wydrzeć z serca rosnącą tam coraz bardziej miłość do Adolfa Stürmera, a zmusić się do kochania hrabiego Parduy.

Myśli jej wirowały w głowie, wreszcie stanął jej przed oczyma jej kat Barrison, który obiecał przyjść jutro wieczór, aby ją posiąść, albo zamordować.

— Niechby jeno przyszedł, niechby mnie zabił — modliła się prawie. — Śmierci się nie boję, bo ona będzie moim zbawicielem.

Opanowało ją straszne znużenie. Siadła na ławce i jakby w letargu pogrążona zapatrzyła się niemym wzrokiem przed siebie.

Nagle jednak zerwała się i przerażony wzrok utkwiła w ścianie. Słyszała całkiem wyraźnie jakieś uderzenia, jakby ktoś bił młotem i dłutem w mur. Uciszyło się wkrótce, ale znowu za chwilę dało się słyszeć rozwalanie muru.

Usłyszała bicie w cegły i wypadanie wapna — naraz — krzyknęła przerażona — wypadła cegła ze ściany i potoczyła się aż do jej nóg, a w otworze ukazała się jakaś czarna twarz z dwoma białemi, błyszczącemi oczyma. Chciała zawołać o pomoc, ale gardło jej się ścisnęło i zanim zdołała słowo wykrztusić, stało się coś niespodziewanego, coś takiego, że przerażona musiała się aż oprzeć o stół, aby nie upaść.

— — — — — — — — — — — — — —

Napróżno czekał Huhle na powrót detektywa Steina. Chodził do jego mieszkania, to znowu ulicami, wiodącemi do strasznego młyna, którędy Stein powinien był wracać, ale nadaremnie — detektyw nie pokazywał się.

Huhle stał właśnie opodal strasznego młyna. Czoło mu się zmarszczyło, oczy błyszczały gniewem. Stał i mruczał:

— Nie, głowę dam za to, że ta banda w strasznym młynie nastawiła na detektywa łapkę, w którą biedaczysko wpadł — tak, tak, z rąk tej czarownicy Wildingowej trudno się wydobyć, bo ona otoczona całą zgrają dyabłów. Z mojej strony nic nie mam przeciwko temu, żeby tego szpicla zmęli na mąkę, bylebym jeno mógł dostać w swe ręce tę młodą damę, za której odnalezienie wyznaczono taką ładną sumkę.

Myślał przez chwilę, poczem ciągnął dalej:

— Zajdę ja tam i złożę wizytę starej czarownicy.

Kiedy właśnie chciał myśl swą spełnić i wejść do młyna, spotkał się w bramie z jakimś dostojnym panem we wspaniałem sobolowem futrze. Zdjął czapkę przed nim i spojrzał nieznajomemu bystro w twarz.

— Do kroćset — mruknął wreszcie, patrząc za nim — u tej wiedźmy schodzą się jednak arystokratyczni goście. Ten przynajmniej wygląda co najmniej na jakiego księcia, hrabiego lub milionera!

Wchodząc jednak na zmurszałe schody, wiodące do młyna, uderzył się w czoło i rzekł:

— Do pioruna! Gdzie ja tego draba widziałem? Przyprawił sobie wąsy, jakby sobie nimi chciał oczy powybijać. Gdzie ja go widziałem?

Stał w zamyśleniu przez parę minut na schodach, ale, zdaje się, nie mógł sobie przypomnieć, bo mruknął wreszcie:

— Eh, do dyabła, właściwie mnie to wszystko

jedno, czy to cesarz chiński, czy sułtan, czy jakikolwiek inny drab.

Z temi słowy podszedł ku drzwiom i zapukał.

— Któż tam znowu? Człowiek, do kata, nawet wieczerzy zjeść spokojnie nie może — dał się słyszeć głos starej, idącej, jak słyszał, ku drzwiom.

— Żeby nie ta młoda dama, którą mam uwolnić — myślał Huhle — to, dalibóg, wolałbym bawić się z babką szatana, aniżeli rozmawiać z tą starą czarownicą!

Drzwi się otworzyły, a w nich ukazała się stara Wildingowa.

— Czego chcecie? — mruknęła.

Huhle z miną najsłodszą zdjął czapkę.

— Daruje pani — rzekł uprzejmie — ale przychodzę z polecenia mego przyjaciela, Jaśka Barrison.

— Jaśka Barrison? — spytała stara, nie dowierzając i nie puszczając go nawet do sieni.

— Tak jest — odparł Huhle najszczerzej w świecie. — Kazał się pani kłaniać i prosić, aby pani wydała mi tę kobietę, którą tu wczoraj przynieśliśmy, bo Barrison chce ją teraz ulokować w swojem mieszkaniu.

Twarz starej Wildingowej zżółkła jeszcze bardziej. Wargi jej trząść się poczęły, wreszcie krzyknęła:

— O ty psi synu! Kto cię to posłał? He? Jasiek Barrison? On właśnie teraz jest u swojej damy. Jeżeli mi się zaraz nie wyniesiesz, to ci nogi połamię, ty gałganie!

I uderzyła go swoim sękatym kijem, którym się podpierała, tak silnie, że biedny Huhle krzyknął z bólu i spadł raczej, aniżeli zszedł ze schodów.

A stara sierdziła się jeszcze i klęła na górze.

Huhle, znalazłszy się na ziemi, zaczął również w jej kierunku posyłać klątwy, jedna za drugą. Widział jednak, że z tą wiedźmą gra jest niebezpieczna. Ale jeśliby kto sądził, że Huhle miał już dosyć i że pójdzie teraz swoją drogą — to myliłby się okrutnie.

Huhle miał inną naturę. Postępował on tak, jakby dawał za wygraną i cofał się — ale tylko pozornie. Wkrótce bowiem powrócił znowu, dostał się na dziedziniec młyna i ukrył się pod schodami. Tutaj postanowił czekać, aż Barrison wyjdzie z młyna, potem chciał spróbować, czy mu się nie uda dostać się do piwnicy, w której siedziała młoda dama.

Upłynęła może godzina, kiedy usłyszał, że po schodach schodzą dwie osoby. Poznał je po głosie. Była to jego dobra znajoma, stara Wildingowa i Jasiek Barrison. Stara opowiadała mu, jak nauczyła rozumu byłego baletmistrza.

— Tańczył prześlicznie — skrzeczała — jak zlatywał ze schodów.

— To dobrze, żeście mu dali nauczkę — chwalił Jasiek.

— Poczekaj jeno, stara małpo — szeptał Huhle wściekły — już ja ci potańcuję po grzbiecie, aż zsiniejesz cała!

Ujrzał potem, że stara, wyprowadziwszy gościa, zamknęła drzwi od podwórza i klucz zawiesiła przy drzwiach wchodowych. Przeczekał więc z kwadrans może, potem zaś, przekonany, że stara już poszła spać, wysunął się ze swej kryjówki i poszedł na górę. Nadzieje go jednak zawiodły, bo drzwi do sieni były silnie zamknięte. Wyłamać zamku nie było można, bo izdebka starej znajdowała się tuż obok sieni, a tej hyeny, jak Wildingową nazywał, były baletmistrz zaczynał się już bać. Namyślał się więc czas jakiś nad tem, co ma zrobić, wreszcie zeszedł na dół i udał się do piwnicy, w której rozniecił światło. Zaczął szukać kanału, wiodącego do rzeki, ale gdy już miał wejść w ciemną głąb, natknął na jakąś zasuwę, a równocześnie usłyszał szum wody.

— Cóż to ma znaczyć? — krzyknął i chwycił zasuwę, ale równocześnie uczuł, że mu ziemia z pod nóg ucieka. Zawisł więc na chwilę w powietrzu, trzymając się zasuwy, poczem jednym susem odskoczył w bok — na szczęście na ziemię.

— Lepiej mi się tu dalej nie zapuszczać — rzekł do siebie — boć tu pełno skrytek i zasadzek!

Nie zwracał więc już nawet uwagi na szum wody, który się z każdą chwilą zmniejszał, ale zapalił zapałkę i podszedł do drugiej ściany, w której znajdował się otwór, tak, że dostał się na górę.

— Do krośset — szepnął — mam szczęście! Do uszu jego dobiegł jakiś stłumiony jęk.

Wyciągnął wreszcie swoje narzędzia, które na wszelki wypadek miał zawsze ze sobą i zaczął po jednej wyjmować cegły ze ściany. Pracował w pocie czoła, bo praca była zawsze jego słabą stroną, ale tym razem miał szaloną satysfakcyę, kiedy udało mu się wybić jedną, potem drugą cegłę. Potem szło już coraz łatwiej. Słyszał już przeraźliwy krzyk Erny, a teraz zobaczył, kiedy niby czarny dyabeł wszedł do wybitego w murze otworu, jak biedaczka, na pół nieprzytomna, oparła się o ścianę, aby nie upaść.

— Niech się pani nie boi — zaczął ją uspakajać — na miłość Boską, niech pani nie krzyczy! Jakby się stara obudziła, wszystko byłoby stracone!

Zapalił świecę i rozwartemi szeroko oczyma wpatrzył się w Ernę, która nań również patrzyła, ale z niedowierzaniem.

— Chcę panią wyratować! — rzekł do niej — ale niech mi pani naprzód powie, kto pani jest i gdzie pani mieszka. Muszę naprzód być pewnym co do pani!

Bo Huhle — brońże panie Boże! — nie miał bynajmniej zamiaru ratować jakiejś innej osoby. Musiał on naprzód wiedzieć, czy dama ta jest tą



... naraz wypadła cegła ze ściany i potoczyła się aż do jej nóg, a w otworze ukazała się jakaś czarna twarz z dwoma białemi, błyszczącemi oczyma....

samą, za której odnalezienie wyznaczono taką ładną sumkę, bo, gdyby było inaczej, to nie wahałby się ani chwili, ale zostawiłby ją dalej swemu losowi. Dlatego to tak skrupulatnie ją egzaminował.

— A więc, jak się pani nazywa?

— Jestem Erna, hrabina Pardua, córka zmarłej już radczyni Solms — odparła Erna, drżąc na całem ciele.

— A gdzie pani mieszka?

— Na ulicy Ogrodowej.

— Dobrze! — rzekł Huhle tryumfująco. — Tak jest, pani hrabino, ja panią wyratuję, choćby mi nawet stu dyabłów stanęło na drodze. Ale którędy my powrócimy? Bo to z panią trudna sprawa. Pani mi jeszcze gotowa mdleć co chwilę.

Erna nic nie odpowiadała.

— Ale zaraz! — krzyknął Huhle — jest ratunek. Odśrubuję poprostu zamek. Niech pani weźmie płaszcz. A może mi pani zechce łaskawie potrzymać światło, to prędzej pójdzie.

Usłuchała. Huhle bardzo zręcznie zabrał się do dzieła, zaczął coś majstrować koło zamku, oderwał go, a kiedy drzwi już stały otworem, szepnął:

— Pani hrabino, niech pani idzie możliwie jak najciszej, tak, żeby, broń Boże, nawet schody nie skrzypiały.

Wypełniła jego polecenie jak mogła najdokładniej. Szła na palcach, prawie nie dotykając ziemi.

— No, teraz jeszcze muszę odśrubować ten zamek, a potem, jak się znajdziemy za temi drzwiami, będziemy już wolni!

Znowu Erna świeciła, a Huhle majstrował koło zamku. Biedna kobieta drżała na całem ciele, ale przemocą opanowywała się.

Huhle kończył już właśnie swoją robotę, kiedy naraz oboje ledwie się mogli wstrzymać od krzyku. Były baletmistrz odkręcał właśnie ostatnią śrubę, która mu z głośnym brzękiem upadła na ziemię. Jakby w odpowiedzi na to dał się słyszeć hałas w izdebce starej Wildingowej.

— Ale teraz prędko, pani hrabino, po schodach na dół — ja kryję pochód!

Już byli na dziedzińcu, kiedy na górze ukazała się stara, krzycząc:

— Cóż się tam znowu dzieje?!

— Prędko, zdejm pani klucz ze ściany — syknął Huhle, jednak w tej chwili świeca zgasła w drżącej ręce Erny. Huhle klnąc, zaczął klucza szukać, a tymczasem stara zeszła na dół i zbliżała się ku nim coraz bardziej.

W ostatniej sekundzie, kiedy koścista łapa starej wiedźmy już się osunęła na ramiona Erny, tak, że biedactwo przestraszone aż krzyknęło z bólu, klucz się znalazł. Widząc zaś Ernę w niebezpieczeństwie i pomny nagrody, jaka go czekała za ocalenie, Huhle chwycił starą za głowę i cisnął ją z całą siłą aż na schody, gdzie z jękiem upadła. Potem szybko otworzył drzwi, wyprowadził Ernę, zamknął bramę na nowo i rzucił klucz daleko od siebie na ulicę.

Świt już szarzał, kiedy oboje szybkim krokiem zdążali ulicą Kanałową, bo obawiali się, że stara może zwołać na gwałt ludzi z okolicznych domów. Odetchnęli więc dopiero wtedy, kiedy się już znaleźli po za przeklętą dzielnicą strasznego młyna.

Erna, która do tej chwili nie mogła nabrać zaufania do swego wybawiciela, odezwała się doń wreszcie:

— Nie jestem w stanie wypowiedzieć panu, jak panu jestem wdzięczna za wyratowanie mnie. Zdaje mi się jednak, że nie ocaliłeś mnie pan w brudnych zamiarach?

— Boże uchowaj! — odparł Huhle — chciałem jeno zdobyć nagrodę, wyznaczoną za odnalezienie pani.

I ku nieoczekiwanemu zadowoleniu dowiedziała się Erna teraz, że mąż jej wyznaczył dwa tysiące marek nagrody dla tego, kto mu coś o niej doniesie; wzruszyło ją to, że jednak mąż jej troszczył się o nią.

— Ja pójdę za panią, pani hrabino — rzekł Huhle — bo przecież nie wypada, żeby taka morda, jak ja, szła obok pani.

Tymczasem zaczęło dnieć. Robotnicy i robotnice przechodzili coraz częściej ulicami, a wszyscy prawie oglądali się za Erną, bo jej prześliczna, biała twarzyczka, i drogi płaszcz, w jakim szła, musiały każdemu wpaść w oczy.

W odległości jakichś dziesięciu kroków za nią szedł Huhle, który nadaremnie usiłował sobie zetrzeć z twarzy pot, jaki się na niej świecił. Powoli dochodzili do ulic bogatszych, gdzie w oknach jeszcze były pospuszczane żaluzye, nareszcie Erna skręciła na ulicę Ogrodową i zbliżyli się ku domowi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Przed walną bitwą.

W chwili, kiedy ten numer oddamy na maszynę drukarską, wspaniały grecki pałac na Franzensringu we Wiedniu zawrze nowem życiem. Otworzą się na nowo podwoje sali, która jest niejako stróżką wolności ludów, pod berłem habsburskim zostających, kuloary parlamentarne zaroją się od posłów. A czeka ich teraz zadanie wielkie, zadanie wagi naprawdę historycznej, bo uchwalenie lub odrzucenie projektu reformy wyborczej, potka na takie szalone przeszkody, iż nie da się załatwić podczas jednej sesyi parlamentarnej, co więcej, że spowoduje upadek premiera, który wniósł projekt reformy. Ale mimo upadku bar. Gautscha kwestya reformy nie zeszła z porządku dziennego. Słusznie powiedział Gautsch, ustępując, że „ministrowie przechodzą, idee pozostają“. Idea powszechnego, bezpośredniego, równego i tajnego prawa głosowania zbyt głęboko tkwi korzeniami w milionowych masach obywateli, aby się ją udało utrącić razem z premierem ministrów. I oto na czele fotografię, przedstawiającą grupę posłów, stanowiącą jeden z najsilniejszych klubów w parlamencie, a mianowicie *»Koło polskie«*. Nie ulega kwestyi i zaprzeczyć się nie da, że Koło polskie wywierało zawsze i dotąd jeszcze wywiera olbrzymi wpływ na bieg polityki wewnętrznej w państwie. Tradycyjnie już Koło stawało zawsze po stronie rządu, dopiero za rządów bar. Gautscha stanęło w opozycyi do rządu i to właśnie wskutek reformy wyborczej. Koło, widząc wreszcie, że reformy obalić nie zdoła, postarało się przynajmniej o to,



Przed walną bitwą: „Klub rumuński“ w parlamencie wiedeńskim. Pierwszy (od strony lewej ku prawej) poseł Popovici, drugi dr. Hormuzaki, trzeci poseł Lupul, czwarty poseł Onciul, piąty poseł Flondor.



Przed walną bitwą: „Polska partya włościańska“. Pierwszy (od strony lewej ku prawej) Michał Olszewski, drugi Jakób Bojko, trzeci Franciszek Krempa, czwarty Jan Kubik.

reformy, mającej być podwaliną nowego życia państwowego, nowej ery w historyi Austryi.

Od ośmiu miesięcy sprawa reformy wyborczej nie schodzi ze szpalt prasy ani z ust zajmujących się choćby pobieżnie tylko polityką. Reforma ta, na zasadzie czteroprzymiotnikowego prawa głosowania oparta, wyszła faktycznie z łona rządu węgierskiego rok temu. Minister węgierskiego gabinetu Fejervary'ego, Kristoffy pierwszy podniósł na pewnem zgromadzeniu potrzebę reformy wyborczej na Węgrzech. W Węgrzech reforma wyborcza miała być straszakiem na skoalidowaną opozycyę, w Austryi musiała wypłynąć na wierzch jako konieczność dziejowa, którą zrozumiał cesarz i ówczesny premier Gautsch i dlatego postawił sam z ramienia monarchy projekt reformy przed forum parlamentu.

Nie ulegało wątpliwości, że projekt reformy wyborczej, wypracowany przez barona Gautscha i hr. Bylandt-Rheidta nie zadowolni wszystkich. Nie spodziewano się jednakże, że reforma ta na rządu stanął nowy premier, książę Hohenlohe-Schillingsfürst, który reformę, podjętą przez barona Gautscha, ma doprowadzić do skutku.

Nowy premier ministrów zabrał się do rzeczy z godną pochwały energią. Postarał się o to, że w krótkim stosunkowo czasie udało mu się zbadać na konferencyach dokładnie żądania każdego z pojedyńczych klubów parlamentarnych, tak, że już na 15 bm. zwołano Radą państwa, która ma nad projektem reformy debatować.

Uważaliśmy więc za stosowne, aby w dniach, kiedy Rada państwa zabierać się będzie do rozwiązania tak ważnego zadania, podać Szan. Czytelnikom kilkanaście ogólnych uwag o reformie, oraz kilka rycin, do reformy tej się odnoszących. Zamieszczamy więc obok przedewszystkiem fotografię gmachu Rady państwa. W gmachu tym rozstrzygnie się bowiem kwestya, czy i o ile silniejsze jest prawo i wola ludu, od interesów pewnych dykasteryj.

Zamieszczamy również w dzisiejszym numerze że bar. Gautsch upadł. Złożyło się na to wiele przyczyn innych, ale faktem jest, że gdyby nie zaciekle oporne stanowisko Koła z prezesem hr. Wojciechem Dzieduszyckim na czele, bar. Gautsch byłby do dziś dnia dzierżył ster rządów w swej dłoni.

Na drugiej rycinie widzimy małą, bo zaledwie z czterech osób złożoną grupkę „polskich posłów włościańskich“. Są to: Michał Olszewski, Jakób Bojko, Franciszek Krempa i Jan Kubik.

Trzecia znowu grupa to „klub ruski“, w sprawie reformy również wybitną odgrywający rolę. Już to trzeba przyznać, że nigdy w parlamencie nie mówiono tyle o Galicyi, nie wysunęła się tam nigdy tak dobitnie nienawiść Polaków i Rusinów, jak w debatach o reformę wyborczą. Koło polskie twierdzi, że rozdziałem mandatów została ludność polska skrzywdzona na korzyść ruskiej, Rusini twierdzą przeciwnie. Faktem jest tylko to, że i Polacy i Rusini w projekcie barona Gautscha zostali skrzywdzeni. Jak będzie wyglądał projekt ks.



Przed walną bitwą. „Koło polskie“ najsilniejszy klub w parlamencie wiedeńskim, które w kwestyi reformy wyborczej odegrało i nadal odgrywa ważną rolę. W pierwszym rzędzie w środku siedzi prezes Koła hr. Wojciech Dzieduszycki, obok niego obaj wiceprezesowie: Abrahamowicz i Dulęba.

Hohenlohego — zobaczymy.— Czwarta wreszcie grupa przedstawia klub posłów rumuńskich. I ta grupa będzie niemały głos w sprawie reformy zabierała, bo Rumuni mają też swoją bolączkę — Niemców, którzy im równie chcą odebrać pewną ilość mandatów.



Przed walną bitwą: „Klub ruski“ w parlamencie wiedeńskim: Posłowie (od strony lewej ku prawej) w pierwszym rzędzie: Bazyli Jaworski, Mikołaj Wasilko, Julian Romańczuk, dr. Emil Gładyczowski, dr. Michał Korol; w drugim rzędzie: Aleksander Barwiński, H. Pihuliak, dr. Andrzej Kos.

Po ustąpieniu Wittego.

W czasie, kiedy do Petersburga zjeżdżali się posłowie ze wszystkich stron obrzymiego imperyum rosyjskiego, aby obradować nad zagwarantowaniem wolności i praw człowieka, kiedy na politycznym horyzoncie Rosyi zaczęły się żarzyć złote blaski wschodzącego słońca konstytucyonalizmu — przyniosły depesze wiadomość, że premier ministrów, hr. Witte, podał się do dymisyi i że dymisya ta została — przyjętą. Fakt ten wywołał w całym świecie dużą konsternacyę, tembardziej, że następcą hr. Wittego mianowany został Iwan Goremykin, jeden z najzaciętszych biurokratów. Nominacya ta oznaczała przed samem zebraniem się Dumy powrót małodusznej i krótkowzrocznej polityki biurokratycznej, która Rosyę zawiodła już nad brzeg przepaści, a teraz znowu miała podnieść czoło.

Hr. Wittte już od stycznia kilkakrotnie podawał się do dymisyi, a przyczyna tej rezygnacyi tkwiła niemal wyłącznie w tem, że potępiał z całą stanowczością politykę Durnowa. Nawet przedstawiając 3 maja stanowczą prośbę o zwolnienie go z urzędu, przytoczył jako motyw właśnie to, że razem z Durnowem nie chce stanąć przed Dumą. Dymisya została przyjętą, a Witte miał wrażenie, że Durnowo pozostanie nadal na swoim urzędzie, bo mówiono o nim z najwyższemi pochwałami u dworu. Okazało się jednak, że w tej samej godzinie otrzymał dymisyę i Durnowo, a to dlatego, że w kołach dworskich istniał już oddawna zamiar obalenia naprzód Wittego i skompromitowania go następnie w oczach całego świata przez jednoczesną dymisyę Durnowa, a więc przez zamanifestowanie niejako, że obaj należeli do jednej kategoryi. Plan ten postanowiono wykonać zaraz po dojściu pożyczki rosyjskiej do skutku. I tak się też stało. Jak twierdzą niektórzy, reżyserem tej komedyi był Trepow, a Durnowo był jeno wykonawcą jego planów.

I Goremykin został premierem Rosyi jedynie z inicyatywy Trepowa, który dziś jest jedną z najwpływowszych osobistości na dworze. Mianowanie Goremykina wywołało nawet powszechne zdziwienie, bo choć obecny premier znajdował się na liście trzech kandydatów na godność prezesa ministrów, to jednak nikt nie przypuszczał, aby ostateczny wybór mógł paść właśnie na niego.

Goremykin, którego portret zamieszczamy obok, znany jest dobrze w Petersburgu, ponieważ był już przez cztery lata ministrem spraw wewnętrznych. Wedle charakterystyki angielskich korespondentów, uchodził Goremykin zawsze za zdeklarowanego wroga Wittego i jego polityki. Ma to być urzędnik ze wszystkich biurokratów najbiurokratyczniejszy. Życie całe spędził między czterema ścianami swego gabinetu, broniąc się skrzętnie przed najlżejszym powiewem świeżego powietrza. Znany reakcyonista powołał do swego gabinetu samych reakcyonistów.

Skład nowego gabinetu, z Goremykinem na czele, nie wróży nic dobrego dla dalszego rozwoju wypadków w Rosyi i oczekiwany konflikt rządu z Dumą czyni więcej niż kiedykolwiek prawdopodobnym.

Takich więcej.

Jednym z najbardziej może zasłużonych był przy wyborach w Warszawie p. Stanisław Kijeński, znany zaszczytnie z długoletniej swej działalności adwokat przysięgły w Warszawie.

On to pierwszy wśród powołanych do głównego komitetu wyborczego członków umiał zaraz na pierwszem zebraniu wobec prezydenta miasta jenerała Bibikowa zastrzedz ten akt wyborczy wobec represyjnych rygorów stanu wojennego i, co najważniejsza, zapewnić mu od początku do końca charakter obywatelski i polski przez urzędowanie w języku polskim, przygotowanie i spisywanie aktów na drukach polskich i po polsku.

Dzięki temu stanowisku całego komitetu, w jednej Warszawie miały wybory charakter urzędowania polski wbrew prowincyi, gdzie komitety wyborcze nie miały tyle stanowczości i odwagi dla obrony praw narodowych.

Spadł też na mec. Kijeńskiego ogrom pracy ze wszech miar odpowiedzialnej podwójnie, bo i wobec władz, upierających się przy wymaganiach swych co do języka rosyjskiego lub przynajmniej rosyjsko polskiego i wobec komitetu, jakoteż całego społeczeństwa.



Po ustąpieniu Wittego: Nowy prezydent ministrów w Rosyi Iwan Longinowicz Goremykin.

Praca to była nie mała, gdyż wobec braku wszelkich po temu wzorów, wszelkich aktów jakichś dawniejszych, trzeba było wszystko stwarzać, układać teksty polskie aktów, wezwań, list wyborczych, głosowania, sprawozdań komisyjnych, wprowadzać je w życie, informować i pouczać podkomitety, wreszcie i owe ostateczne komisye wyborcze, których ogólne przewodnictwo siłą zaufania powszechnego dostało się również mecenasowi Kijeńskiemu w udziale.

Jeszcze w ostatniej niemal chwili, po złożeniu ukończonych już aktów wyborczych polskich, była obawa o ich zatwierdzenie właśnie z powodu tekstów polskich, tak jak i tuż przed dniem głoso-



Przed walną bitwą: Gmach parlamentu austryackiego na Franzensringu w Wiedniu. Ubikacye, oznaczone krzyżykiem, stanowią sale posiedzeń „Koła polskiego“.

wiana, aż rozporządzenie ministra przechyliło szalę wątpliwości co do polskich kart legitymacyjnych i głosowania na stronę komitetu, a nie władz miejscowych.

Tygodnie całe ciągnęła się ta żmudna praca, w której przodował niezmordowanie mecenas Kijeński, niepomny na wszelkie przeszkody, wszelkie krótkowidztwa lub nawet małe zawiści osobistej natury.

Jedynie obowiązek obywatelski i narodowy mając na względzie, zwyciężył też na całej linii, jako jeden z tych, który silnej woli własnej i pracy zawdzięcza wszystko, co zdobył w życiu i w zawodzie. Dzielny swego czasu obrońca w sprawach unickich, przygotował się do życia i działania pracą i nauką, czerpaną na wydziale prawnym uniwersytetu warszawskiego, poczem jako tegoż stypendysta studyował w uniwersytecie Jagiellońskim dawne prawo polskie i historyę u Szujskiego, Bobrzyńskiego i Smolki.

Pracował również na niwie literackiej, redagując w latach 1897 — 1898 „Kuryer niedzielny“ i wychodzące wówczas „Album zasłużonych Polaków i Polek XIX. wieku“. Jego też pióra, wyszły: „Portret literacki I. J. Kraszewskiego“ „Życiorys generałowej Sowińskiej“ jakoteż cały szereg broszur, omawiających zagadnienia społeczne i polityczne.

Obok szerokiej swej praktyki zawodowej miał zawsze czas pisywać do peryodycznych pism polskich i czeskich, a przy naszych obowiązkach obywatelskich, do których go wszędzie powołuje powszechne zaufanie, znajdzie zawsze czas jako pożądany, pełen taktu i sprawiedliwości rozjemca w sprawach honorowych.

Czynny, energiczny, zawołany mowca umie i szerzej i głębiej patrzeć, a przytomnością umysłu zapanować nad sytuacyą.

Spełnił też przy wyborach świetnie zadanie głównej sprężyny, pobudzającej i regulującej całą akcyę, bez cienia jakichś osobistych aspiracyj, nawet do uznania, a tem mniej podzięki, której najwymowniejszym wyrazem jest sam przebieg i wynik wyborów, których „magna pars fuit“.

Ani wątpić, iż przy dalszym rozwoju życia konstytucyjnego, zasłużone to nazwisko znajdzie się w zaszczytnym poczcie przedstawicielstwa tak w Dumie, jak i w Sejmie krajowym. *B-t.*



Fot. Rosenblüth, Jarosław.

Uroczystość wojskowa w Jarosławiu: Kapitan 19 pułku piechoty p. Ludwik Hospodarz, udekorowany krzyżem zasługi, oczekuje na nadejście defilującej przed nim kompanii.

Uroczystość wojskowa w Jarosławiu.

Załogujący w Jarosławiu 90 pułk piechoty obchodził w ubiegłym tygodniu nielada uroczystość. Dnia 6 maja odbyło się tam bowiem uroczyste odznaczenie kapitana wspomnianego pułku, p. Ludwika Hospodarza i udekorowanie go krzyżem zasługi wojskowej.

W obszernym dziedzińcu koszar, umieszczonych w dawnym klasztorze jezuickim, zgromadził się cały jarosławski korpus oficerski. Kompania kapitana Hospodarza wystąpiła w paradzie. Wśród zwykłego ceremoniału pułkownik Kolischer przypiął kapitanowi Hospodarzowi krzyż i w serdecznych słowach przemówił do żołnierzy, podnosząc działalność p. Hospodarza i znaczenie udzielonej mu świeżo nagrody, poczem kompania przedefilowała przed swym udekorowanym przełożonym.

Kapitan Hospodarz jest jednym z tych oficerów, który przez nadzwyczajną wyrozumiałość i pełne taktu obchodzenie się z żołnierzami zdołał sobie pozyskać miłość, szacunek i poważanie zarówno u swoich podwładnych jak i kolegów. Niepowszednie zalety umysłu i prawość charakteru, jakim się na każdym kroku odznacza, były też przyczyną, że odznaczenie go spotkało się z żywą sympatyą i zadowoleniem wszystkich.

W numerze niniejszym zamieszczamy dwie illustracye z owej uroczystości wojskowej, przekonani, że spełniamy życzenia wszystkich tych, którzy zacnego kapitana znają i odznaczeniem go ucieszyli się szczerze. Pierwsza fotografia przed-



Fot. Rosenblüth, Jarosław.

Uroczystość wojskowa w Jarosławiu: Pułkownik 90 pułku piechoty w Jarosławiu, p. Kolischer (1) przemawia do żołnierzy po udekorowaniu kapitana Hospodarza krzyżem zasługi.

stawia chwilę, kiedy pułkownik Kolischer po zawieszeniu na piersiach kapitana Hospodarza krzyża zasługi przemawia do żołnierzy, druga zaś kapitana Hospodarza w chwili, kiedy zbliża się kompania, pod jego rozkazami zostająca, aby przez uroczystą defiladę uczcić swego bezpośredniego przełożonego. Zdjęć fotograficznych dokonał specyalnie dla „Nowości illustrowanych“ fotograf Rosenblüth w Jarosławiu.

Na gruzach San Francisco.

Zniszczenie, jakiego w San Francisco dokonało trzęsienie ziemi, teraz dopiero, kiedy już ochłonięto z przestrachu i grozy, okazało się w całej pełni. Miasto, które w przeciągu kilkudziesięciu lat ostatnich wzrosło w sposób prawdziwie amerykański, tak, że z dumą nazwali je Amerykanie „królową oceanu“, w przeciągu kilku godzin zmieniło się w jedno wielkie pogorzelisko, w kupę gruzów i dymiących się zgliszcz. Przewspaniałe, z amerykańskim iście przepychem urządzone pałace, znikły naraz z powierzchni ziemi i zwaliły się, niby te domki z kart za podmuchem wiatru. Wille milionerów, owe cuda świata, w których jedynie szczęście i rozkosz zdały sobie obrać siedlisko, dzisiaj sterczą jako brudna masa kominów, obszarpanych kamieni, cegieł i żelaziwa, jakby mówiły wszystkim tym, co gorączkowo zabrali się do uprzątania gruzów, aby stworzyć grunt pod nowe, jeszcze wspanialsze budowle, że „wszystko marność nad marnościami i nic, jeno marność“. Na cóż się zdadzą wreszcie wysiłki ducha i rąk ludzkich, kiedy jedna taka żywiołowa katastrofa, której przyczyn odgadnąć dziś jeszcze nie możemy, w puch roznosi całe miasta i najpiękniejsze ludzkie osady zamienia w kupę gruzów?

W numerze niniejszym zamieszczamy dwie illustracye, z gruzów San Francisca.

Na jednej z nich widzimy ruiny zwalonego podczas trzęsienia ziemi hotelu „Valencia“. Był to jeden z najpiękniejszych i najpyszniejszych urządzonych hoteli na świecie, istna oaza, w której gromadziła się zawsze śmietanka amerykańskiej plutokracyi, jedno z tych miejsc, gdzie brzęk złota i gwar niczem nie krępowanej zabawy tłumił wszelkie uczucia troski. Ściany hotelu tego nie słyszały płaczu, nie widziały bolesnego załamania rąk, nie znały co to ból i nędza, nie widziały nigdy troski, na czołach osiadłej i twarz w bruzdy fałdzącej. A jednak wystarczyła jedna noc, oświecona żagwiami płonących domów, aby ten cały gmach runął. I pozostało zeń to samo, co z prostej lepianki na przedmieściu: gruzy, popiół i żelaziwo.



Na gruzach San Francisco: Pierwsze fotografie, jakie nadeszły z Ameryki, a zdjęte na miejscu katastrofy kalifornijskiej: gruzy wspaniałego hotelu Valencia, zburzonego przez trzęsienie ziemi.

Druga illustracya przedstawia część San Francisca, która stosunkowo najmniej w czasie trzęsienia ziemi ucierpiała. Przynajmniej domy tam nie wszystkie runęły, stoją jeszcze, ale mury ich porysowane i pochylone, tak, że runąć muszą lada chwila. Na olbrzymiem pogorzelisku sterczą te domy niby cmentarne pomniki przeszłości, skarżące się niebu, że wśród ogólnej zagłady ocalały. Widać tam na popękanej ziemi gruzy; nadjeżdża karetka ambulansowa, zbierając chorych, których liczba wzrasta z dniem każdym.

A jednak — inżynierzy i architekci amerykańscy, niezrażeni katastrofą, która ich dzieła obróciła w niwecz, nie tracą otuchy. Wyłonił się nawet z ich grona projekt, aby na miejscu dawnego San Francisco wystawić nowe miasto, któreby było najpiękniejszem miastem na świecie. Obiecują nawet, że potrafią budować domy w ten sposób, że muszą przetrzymać nawet najsilniejsze trzęsienia ziemi i wszelkie kataklizmy przyrody. Czy im się to uda — zobaczymy.

Ofiara wybuchu bomby w Warszawie.

Ostatni wybuch bomby w Warszawie przypłacili życiem dwaj ludzie, mianowicie długoletni urzędnik kolei Nadwiślańskich, naczelnik jednego z jej wydziałów śp. Karol Gutner i woźny, a w jednej osobie i tajny agent, Morozow.

Zwłoki ostatniego tak były poszarpane i zniszczone płomiennym ogniem, iż wszelkie zakusy odfotografowania ich spełzły na niczem.

Również i zwłoki Gutnera uległy częściowemu uszkodzeniu, szczególnie na piersiach i nogach, co uwidoczniła i fotografia zaklęśnięciami surduta, jakoteż brakiem wszelkiego zarysu nóg; ręka bowiem jedna i noga były oderwane, co wraz z innemi ranami na ciele spowodowało śmierć ofiary w dwie godziny po wypadku, mimo natychmiastowego ratunku w biurze dyrekcyi kolejowej, w pasażu Simonsa położonem.

Zabity Gutner był urzędnikiem starszej już daty, z czasów dawniejszej jeszcze kolei Nadwiślańskiej, przy której służył lat przeszło 30. Jakkolwiek niemieckie miał nazwisko, był Polakiem i zażywał dobrej opinii wśród kolegów, przyjaciół i znajomych.

Osierocił żonę i kilkoro dziatek.



Na gruzach San Francisco: Pierwsze fotografie, jakie nadeszły z Ameryki, zdjęte na miejscu katastrofy kalifornijskiej: Szczeliny jakie potworzyły się na ulicach skutkiem trzęsienia ziemi.

U bram nowego życia.

Niepokój, jaki ciągle jeszcze panuje w Rosyi, wywarł niemały wpływ na kierunek rządów tego stuczterdziesto milionowego mocarstwa. Era konstytucyjna, która zabłysła Rosyi w ponurym dniu legislatywy Rady przelano na obradującą właśnie w Petersburgu Dumę, która obecnie stanowić ma właściwy czynnik rządzący. Wobec tego i skład członków Rady państwa się zmienił. Rada stanowić ma teraz pewnego rodzaju Izbę wyższą, stojącą ponad Dumą. Należeć do niej będą w połowie do-



Fot. specyalnie dla „Nowości Ill.“ Raczyński w Warszawie.

Ofiara wybuchu bomby: Śp. Karol Gutner, naczelnik wydziału kolei Nadwiślańskich, zabity przy wybuchu bomby, rzuconej do powozu Proskuriakowa.

31-go października ubiegłego roku, właściwie wzeszła dopiero, nie zajaśniała jeszcze w całej pełni. Wschód tej nowej ery już jednak nadszedł, a było to dnia 30 kwietnia hr. kiedy w Petersburgu odbyło się ostatnie posiedzenie Rady państwa pod przewodnictwem Wittego.

Rada państwa, która stanowiła właściwy rząd w Rosyi, składała się z ministrów, wysokich urzędników i generalicyi. Przewodniczącym jej był zawsze prezes ministrów, a uchwały Rady przechodziły tylko do zatwierdzenia ich przez cesarza, poczem stawały się prawomocne.

Dzisiaj, kiedy stosunki się zmieniły, kiedy wola monarchy powołała do rządów przedstawicielstwo ludów, pod jego berłem zostających, znaczenie Rady państwa z grunty się zmieniło. Dzisiaj lwią część tychczasowi członkowie, mianowani przez cesarza, w połowie zaś z wyborów. Między innymi z nowo mianowanych przez cesarza wszedł do Rady państwa były premier hr. Witte, o którym krążyły uporczywe pogłoski, że tak dalece stracił łaski u dworu, iż nawet nie znalazł się na liście członków Rady. Pogłoski te okazały się fałszywemi.

Na illustracyi naszej widzimy ostatnie posiedzenie dawnej Rady państwa pod przewodnictwem Wittego. Od tego posiedzenia zaczęła się właściwie konstytucyjna era w Rosyi, było więc ono momentem o znaczeniu prawdziwie historycznem, którego skutki już dzisiaj po części widzimy. Stara Rosya, której Rada państwa była przedstawicielką, znikła z widowni dziejowej, ustępując miejsca Rosyi nowej, której przedstawicielką jest Duma.



U bram nowego życia: Ostatnie posiedzenie Rady państwa w Petersburgu przed jej zreformowaniem, pod przewodnictwem prezydenta Wittego. (X)

Jubileusz popularnego nauczyciela.

Lubiany powszechnie dla swej bezpretensyonalności, skromności i zacności charakteru, muzyk lwowski, p. Maryan Signio, którego portret obok zamieszczamy, obchodził onegdaj jubileusz ćwierćwiekowej pracy kompozytorskiej. Lwowianin z krwi i kości (tu się urodził 21 listopada 1845) pozostał wierny przez całe życie swojemu gniazdu, pracując wytrwale jako prywatny nauczyciel muzyki, tudzież w charakterze nauczyciela śpiewu przy szkołach średnich lwowskich przez długie lata. Muzyki uczył się u Benedykta Sierosławskiego, następnie u prof. Fialego. Jako młodzieniec dwudziestokilkoletni założył chór „Św. Cecylii“, który przez



Jubileusz popularnego nauczyciela: Muzyk lwowski Maryan Signo, obchodzący jubileusz ćwierćwiekowej pracy kompozytorskiej.

długie lata rozwijał się nader pomyślnie. Przez długie lata dom Signiów, którego usiłowania muzykalni, a obywatelskiemi chęciami ożywieni, rodzice popierali gorąco, był prawdziwą przystanią dla wszelkiej zbożnej pracy muzycznej, a młody muzyk duszą wszelkiej muzycznej akcyi we Lwowie. Lecz czas zrobił swoje. Stosunki zmieniły się. Miejsce ruchliwego młodzieńca zajęli inni. Signio usunął się z szerszej widowni, pracując w ciszy nad liczną rzeszą swych uczni, których liczba — nie skłamię, — wynosi z górą tysiąc. Skromny w życiu aż do zapomnienia o sobie, o swoich aspiracyach i ambicyach, śpieszy chętnie tam, gdzie jego sił i pracy wymaga jaka myśl szlachetna, motywy patryotyczne, lub estrada dobroczynna, gotów nieść w ofierze swój talent, czas wolny od ciężkiej pracy, swój pogodny, jowialny humor. Kochają go też rzesze jego byłych uczni, przywiązanych do maestra całą duszą.

Zasłużonemu jubilatowi przesyłamy szczere życzenia dalszej pomyślnej pracy kompozytorskiej, która przysporzyła już naszej literaturze muzycznej tyle celowo nakreślonych utworów. —m's.—



Aresztowanie notaryusza: Floryan Obmiński, notaryusz w Starym Sączu.

Aresztowanie notaryusza.

Dnia 20 kwietnia br. odbyło się w Nowym Sączu posiedzenie Rady powiatowej, jedno z ważniejszych, bo miano na niem dokonać wyboru prezesa i członków wydziału. Na posiedzeniu tem zjawił się z ramienia rządu starosta nowosądecki Jarosz. Zanim przystąpiono do wyboru, członek Rady, p. Floryan Obmiński, notaryusz ze Starego Sącza, znany i powszechnie szanowany obywatel, poprosił starostę o głos do odczytania wniosku co do zgodnego z ustawą przeprowadzenia wyboru. Nawiasem trzeba dodać, że wniosek ten podpisany był przez czternastu członków Rady. Starosta nie tylko, że mu nie udzielił głosu, ale kazał mu opryskliwie milczeć, co więcej, kiedy p. Obmiński poprosił go, aby przynajmniej wniosek, zawierający prośbę do niego, przyjął, starosta Jarosz odepchnął mu rękę tak, że mu wniosek z ręki wyleciał; a nadto skazał go na 3 dni aresztu i wezwał żandarma, aby go natychmiast odprowadził do więzienia, co się też stało.

Prezydent sądu p. Kostka i naczelnik p. Rajca, przekonawszy się, że do sądu nie nadeszło żadne pismo w tej sprawie od p. starosty, wypuścili p. Obmińskiego z więzienia.

Niesłychany ten akt bezprawia p. starosty Jarosza wywołał nietylko w Sączu, ale w całej Galicyi zrozumiałe oburzenie, tembardziej, że między członkami Rady powstał po zasądzeniu p. Obmińskiego taki popłoch, iż z obawy przed podobnym losem, głosowali podczas wyborów tak, jak się podobało panu staroście.

P. Obmiński, którego portret obok zamieszczamy wyjechał w tej sprawie do Wiednia, do ministra spraw wewnętrznych, którego energii jedynie zawdzięcza, że mu karę odłożono i wezwano namiestnictwo do wglądnięcia w tę bądź co bądź przykrą sprawę. Wszyscy zaś włościańscy członkowie Rady powiatowej, w liczbie 14, wnieśli do namiestnictwa zażalenie w tej sprawie. Mamy nadzieję, że p. namiestnik dokładnie zbada powyższą sprawę i ukróci nadużycia.



Pierwszy parlament rosyjski: Wiceprezydent Dumy książę Piotr_Dołgorukij.

Pierwszy parlament rosyjski.

Na innem miejscu piszemy o uroczystym akcie otwarcia Dumy rosyjskiej w pałacu Zimowym w Petersburgu. Następnie posłowie udali się do pałacu Taurydzkiego, (którego illustracyę znają już nasi Czytelnicy) na pierwsze posiedzenie Dumy. Zagaił je sekretarz stanu Frisch przemówieniem, w którem nadmienił, że wybrani przedstawiciele narodu, otrzymują zupełną możność pracowania nad ustaleniem stosunków legalnych i niezachwianej praworządności. Posłowie są w tem szczęśliwem położeniu, że pracować mają przy zupełnej jawności i z zupełną swobodą słowa. Każde ich słowo będzie przez prasę rozpowszechnione po kraju, który z baczną uwagą śledzi działalność posłów. Życząc szczęśliwego postępu prac, sekretarz stanu oświadczył, że Dumę otwiera, poczem wezwał posłów do podpisania odczytanej formuły przysięgi, oraz do dokonania wyboru prezydenta.

Wybrano prezydentem profesora moskiewskiego Muromcewa. Wybór ten powitano oklaskami, poczem pierwszy głos zabrał poseł Pietrunkiewicz.



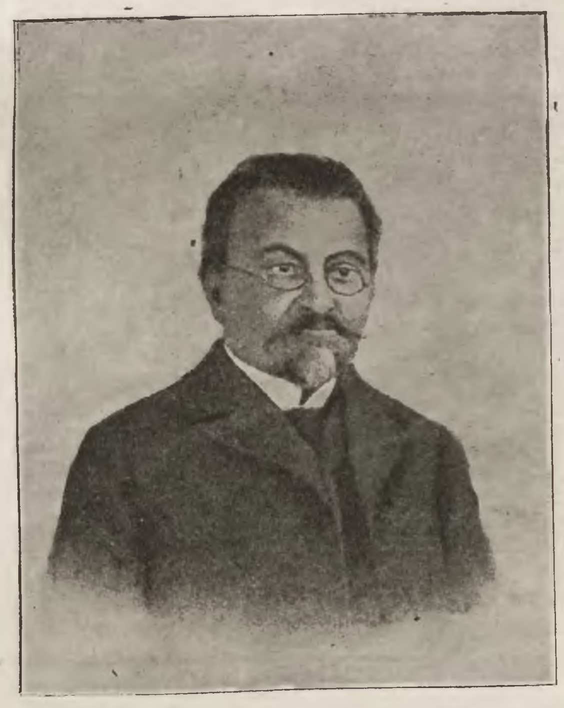
Pierwszy parlament rosyjski: Poseł Rodiczew, który wygłosił pierwszy mowę w Dumie, domagając się amnestyi.

Powiedział on, że jest to obowiązek honoru i godności, ażeby pierwsze wolne słowo poświęcone było tym, którzy za wolność ojczyzny własną wolność poświęcili. (Burzliwe oklaski). Wszystkie więzienia są przepełnione. Tysiąc rąk wyciąga się ku Dumie, błagając o wolność. Jest powinnością Dumy uczynić wszystko, ażeby wolność, tak drogo przez Rosyę okupiona, już więcej ofiar nie pochłonęła. (Burzliwe oklaski). Żądamy pokoju i zgody. Jakkolwiek sprawa ta będzie omawiana w dyskusyi adresowej, to jednak niemożliwą jest rzeczą stłumić głośny krzyk serca, domagający się, aby o kwestyi tej już teraz obradowano. Wolna Rosya żąda uwolnienia aresztowanych. (Huczne oklaski).

Prezydent Muromcew podziękował zgromadzeniu za okazane mu przez wybór zaufanie i podniósł, że prace Dumy odbywać się będą na podstawie poszanowania prerogatyw monarchy konstytucyjnego, oraz na gruncie zupełnego odnowienia rządów. (Oklaski),

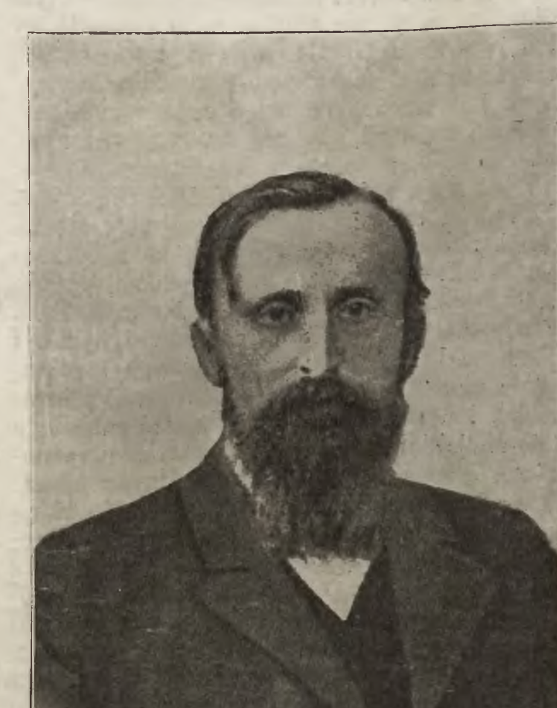
Na drugiem posiedzeniu Duma wybrała wiceprezydentami księcia Piotra Dołgorukowa i prof. Grodeskuła z Charkowa, sekretarzem zaś księcia Szachowskiego (był w gimnazyum w Warszawie).

Przy końcu posiedzenia przedłożył prezydent wniosek Rodiczewa, opiewający, że w odpowiedzi na mowę tronową należy przedłożyć adres, któryby zawierał oświadczenie, że zupełna amnestya jest niezbędnie konieczną. Rodziczew w uzasadnieniu swego wniosku wywodził, że wniosek ten



Pierwszy parlament rosyjski: Poseł Pietrunkiewicz, który pierwsze wolne słowo w Dumie poświęcił uwięzionym bojownikom wolności.

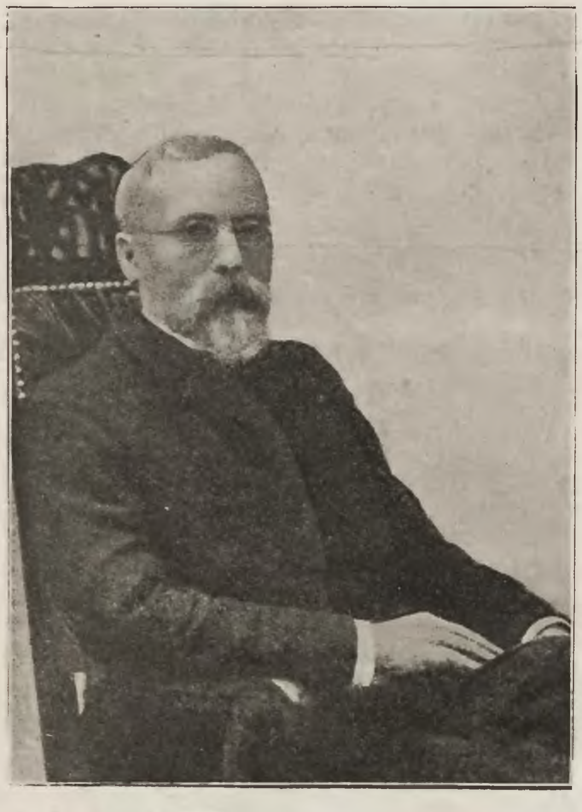
nie pochodzi od stronnictw, lecz jest sprawą narodową. Wniosek mowcy nie jest projektem ustawy. Udzielenie amnestyi należy do prerogatyw monarchy. Zwracamy się z prośbą do monarchy i dajemy wyraz życzeniu ludów. Niechcielibyśmy, aby życzenie to stało się żądaniem. Podczas kampanii wyborczej, w ciągu podróży do Petersburga i tu na miejscu słyszeliśmy jedno jedyne słowo: amnestya! Rosya jest państwem, którego uczeni prawnicy twierdzą, że kara śmierci nie istnieje w niem, podczas gdy w samym miesiącu kwietniu wykonano 99 wyroków śmierci. Krwawe mary straconych wciskają się do tej sali i muszą być stąd wypłoszone, abyśmy tu mogli pracować. Amnestya nie odnosi się do osób, lecz do zbrodni. W chwili, gdy kraj zdąża do przeobrażenia, jest amnestya niezbędną, a musi też być powszechną. Częściowej amnestyi nie potrzebujemy. Błąd popeł-



Pierwszy parlament rosyjski: Sekretarz Dumy książę Szachowskoj.

niony 30 października, nie powinien się powtórzyć! Bądźmy zgodni i nie wywołujmy żadnych różnic zdania. Ludziom, którzy popełnili zbrodnie, należy z miłością przebaczyć.

Rozumiemy, jak bardzo zajmuje dziś Czytelników pierwszy parlament rosyjski. Dla zaspokojenia więc ich ciekawości, podajemy w tym numerze portrety osobistości, jakie w pierwszych chwilach Dumy zwróciły na siebie uwagę powszechną. Więc oprócz prezydenta Muromcewa i wiceprezydenta Dołgorukowa, oraz sekretarza Szachowskiego, zamieszczamy podobizny dwóch posłów, których mowy, gdy zwłaszcza pierwsi głos zabierali w pałacu Taurydzkim, wywarły silne wrażenie: Pietrunkiewicza i Rodiczewa, domagających się ogólnej amnestyi i oddających hołd bojownikom o wolność. A portrety te przyjmą Czytelnicy nasi tem milej, ile że wszyscy ci Rosyanie są naszymi przyjaciółmi i oświadczają się za autonomią Polski.



Pierwszy prezydent Dumy: Prof. S. Muromcew. (Do artykułu na stronie 20).



Zamknięcie szkoły lasowej we Lwowie: Grupa słuchaczów, którzy opuścili szkołę. (Do artykułu na str. 20.)

Plotki lwowskie.

(Wystawa bydła. — Lwów a Kraków. — Ogony damskie. — Policya nasza a wasza. — Powietrze. — Jarmark. — Jeszcze Grąbczewski).

Wystawa bydła nie udała się dobrze, bo wielu obywateli lwowskich nie zostało odznaczonych mimo, że na to w zupełności zasługiwali. Powodem tego braku uznania ze strony jury wystawy jest — jak twierdzą jedni — intryga niektórych osobistości, albo — jak utrzymują inni — zwykła zazdrość i brak znajomości rzeczy. Gdyby Lwów rządził się sprawiedliwością, wypadłyby odznaczenia całkiem inaczej. We Lwowie jest tyle bydła i tyle rozmaitych jego gatunków, że u nas właściwie stale odbywa się wystawa bydła i stale choć cicho wynagradza się najlepsze okazy. Im większe bydlę, tem większa spotyka go nagroda. I nasze bydło dzieli się na rogaczów i nierogaczinę, a mamy je w takiej obfitości, że gdyby się tylko wszyscy przyznawali do tego, czem są, i pozwolili się zarzynać w rzeźni miejskiej, ceny mięsa spadłyby odrazu o 75 procent. Nie jestem weterynarzem społecznym ani rzeźnikiem, więc nie wdaję się w szczegółowy wykład o lwowskiem bydle, ale że na ostatniej wystawie wiele cennych okazów nie zostało wystawionych i odznaczonych, więc moje dziennikarskie sumienie każe mi ująć się za tymi pokrzywdzonymi.

Taka już moja gołębia natura. Boli mię każda krzywda ludzka i choć nieproszony ujmuję się za maluczkimi. Szczęście moje i wasze, że mieszkam i działam we Lwowie, gdzie, jak wiadomo, panują rajskie stosunki, ludzie żyją ze sobą w zgodzie, a teatr miejski wystawia Kopciuszka. Gdybym był dziennikarzem krakowskim, nie podarowałbym waszej Radzie miejskiej tej kontra ogoniastej uchwały. Przecież i u nas we Lwowie debatowano długo w Radzie miejskiej o damskich ogonach, proponowano różne środki zaradcze, ostre i łagodne, omawiano złe skutki, ale broń Boże, nie uchwalano nic, nie robiono żadnych zamachów, bo takie dziecinne zamachy nie przystoją powadze Rady. U nas odrazu zrozumiano się na żarcie, trochę debatowano, trochę się uśmiano i koniec. Każda Lwowianka nosi ogon jaki się jej podoba, robi z nim co chce, trzyma go, gdzie jej wygodnie i używa go, kiedy potrzebuje. A Rada miejska lwowska nawet już nie próbuje występować przeciw damskim ogonom, bo się już przekonała i z tem się oswoiła, że nasze panie bez ogonów istnieć nie mogą. Ostatecznie każdy rajca miejski ma w swoim domu coś z płci żeńskiej, jakąś żonę, jakąś córkę, ciotkę, babkę, lub wnuczkę. A to wszystko przecież używa ogonów. I dobrze nam z tem jest. U was inaczej. Wasza rada miejska wypowiedziała wojnę ogonom! Dlaczego? Czy wasze ogony są gorsze od naszych? Czy u waszych kobiet panuje inna moda? Czy żony, córki, ciotki, guwernantki i kochanki waszych rajców nie używają chętnie ogonów i nie mogły wpłynąć na swych mężów, ojców itd, aby nie przyczynili się do tak krzywdzącej i lekkomyślnej uchwały? Jest to dla mnie rzecz niezrozumiała, a wy dziękujcie Bogu, że nie jestem krakowskim dziennikarzem.

Ale nie tylko na punkcie ogonów damskich a raczej wolności ich używania stoi Lwów wyżej. Małpujecie nas w niejednem, ale nie możecie nam dorównać. Np. wasza konna policya. Macie ją, to prawda, ale co wasza konna policya robi? Nic o niej nie słychać! A przypatrzcie się czynom naszej policyi. Nasza policya konna wywiera swój zbawienny wpływ nie tylko na ludzi, między którymi zaprowadza wzorowy porządek, ile razy tego potrzeba, ale w ostatnim czasie zabiera się i do pomników. Ubiegłej niedzieli omal nie aresztowano pomnika Mickiewicza. Zgromadzenie socyalistyczne odbywało się dokoła pomnika, a że Mickiewicz brał w ten sposób udział w zgromadzeniu, więc wezwanie policyi „proszę się rozejść“ tyczyło się i Mickiewicza. Jeden z policyantów konnych wjechał nawet na stopnie pomnika, kiedy stratowany tłum rozbiegł się, a tylko jeden Mickiewicz pozostał na miejscu. Dopiero komisarz Karabanowski wytłomaczył koniowi policyjnemu, że Mickiewicz nie był socyalistą, pomimo, że nosił szeroką kra watkę i długie włosy i to go dopiero uratowało. A co robi wasza policya konna? Obchodziliście święto robotnicze 1 maja, pamiątkę konstytucyi 3 maja — i co?

Prawdą a Bogiem, odbyło się przedwczoraj u nas znowu pod tym samym pomnikiem zgromadzenie socyalistyczne, ale niestety nie było już uroczystego nastroju, bo nasza policya zachęcona przykładem waszej, nie wzięła udziału w zgromadzeniu. A może odpoczywa jeszcze na laurach z poprzedniego tygodnia? Te laury to zdobyty czerwony sztandar. Powiedzcie więc sami bezstronnie, czy wasza policya zdobyła kiedyś jaki sztandar, jakiś bodaj kawałek perkalu, albo podszewkę od poduszki? Więc na co wam było sadzić się na konną policyę? U nas lada studencik w mundurku wyprowadza cały korpus policyjny z równowagi, a u was nawet taki Daszyński nie wywiera już wrażenia na policyę. Jednem słowem: jesteście dziurą, a gdybyście mieli szczyptę społecznego honoru, rozpadlibyście się przy pierwszej lepszej sposobności w gruzy. Trzyma was wasze niedołęstwo.

Przepraszam za tych kilka słów prawdy, ale podyktowane one są moją dumą obywatelską i tą prawdziwą radością, że mieszkam we Lwowie i oddycham jego powietrzem wielkomiejskiem. Nasze dobre powietrze jest znane każdemu, kto choćby kilka godzin przepędził we Lwowie i przeszedł się ulicą Karola Ludwika Tomy całe już zapisano o naszem powietrzu, ale że powietrze gazet nie czyta a magistrat nic sobie z nich nie robi, więc zamiast poprawiać się, coraz bardziej śmierdzi. Nie pomoże tu ani skrapianie, ani perfumowanie ulic beczkowozami — Lwów nie pachnie, Lwów śmierdzi, Lwów jest wielkiem miastem.

Dlatego urządzamy teraz jarmark krajowy. Nasze bułki i chleby, w których mieszkają karakony, szwaby, pchły i mniejsze myszki, nasze mięso węgrowate, nasze wędliny z zatrutego mięsa, nasz nabiał naturalnie sztuczny i sztucznie naturalny z pływającemi w mleku grzebieniami, puklami włosów itp. — to, wyroby krajowe, co do których wyprzedziliśmy zagranicę o całą długość nosa, galicyjskiego nosa beznadziejnie zatkanego od urodzenia.

Jeżeli jednak nosy galicyjskie są szczelnie zatkane, to znajdzie się zawsze ktoś taki, który z tego braku powonienia korzysta i za nos nas wodzi. „Exempli gratia“ Imci pan Wiktor Porywaj Grąbczewski. Zdawało się, że wszelki ślad za nim przepadł, że nazwiska jego już nigdy nie wymówimy, że dla Lwowa raz na zawsze przestanie istnieć. Nie wraca wprawdzie do Lwowa p. Grąbczewski, ale pamięć o nim tak prędko nie zaginie. I w tym tygodniu znów przypomniał się naszemu miastu. Jakaś warszawska artystka wykiwana przez p. Grąbczewskiego, dowiedziała się, że p. Pawlikowski wszystkim wykiwanym płaci w sądzie i zaskarżyła Pawlikowskiego. Naturalnie, że dostanie za to parę tysięcy koron. A Grąbczewski siedzi w Warszawie, jeszcze dotąd liczy złożone we Lwowie pieniądze i pęka ze śmiechu, ile razy dowie się, że Pawlikowskiego skarżą za jego kawały.

Wyobrażam sobie, coby ludzie nasi mówili, gdyby Grąbczewski miał kiedyś zamiar powrócić do Lwowa. Zamknęliby wszystkie rogatki, rozstawiliby straż pożarną u bram miasta z sikawkami, wytaskaliby wszystkie wozy epidemiczne, na dworcu kolejowym w trzech miejscach podłożonoby bomby melinitowe, rozebranoby szyny kolejowe, polanoby ulice gorącą smołą, dwa pułki artyleryi z ostrymi nabojami w armatach oczekiwałyby gościa przed teatrem, a gdyby to wszystko nie pomogło i pan Grąbczewski, dzięki znanemu sprytowi, przedostałby się do miasta, to wszyscy mieszkańcy Lwowa, jak jeden mąż, wyemigrowaliby z miasta.

To się nazywa popularność. A pracował na nią p. Grąbczewski zaledwie kilka miesięcy.

Klewe.

Helena Miączyńska.

Najmilej śpiewać tym, którzy zdolni są zrozumieć śpiewaka, pochwycić drobne drgnienia uczucia, odzwierciedlające się w każdej sylabie, wejść w intencye śpiewaka, pojąć go dokładnie, rozumiejąc nie tylko jak śpiewa, ale także i co śpiewa — słowem, najmilej śpiewać swoim; a jakkolwiek słuchacz polski — szczególniejsze miewa względy i respekt dla przekrzyczanego kataryniarza włoskiego lub ryczywołu bełkocącego wstrętnym i znienawidzonym charkotem z nad Sprewy — to jednak w chwili gdy nasza pieśń, pieśń polska rozpocznie królowanie na sali — rosną serca słuchaczom, bo po złotej nici spójni dusz bratnich, spływa do serc tych tajemnicza i wstrząsająca siła natchnienia twórcy, tudzież potężna siła uczucia odtwórcy. Chłodni słuchacze zmieniają się pod czarem tej siły, tudzież pod czarem ciepła uczucia z surowych i zimnych, na gorących, lub entuzyastów. Po za tem jednak jest jeszcze inna siła, która ciągnie do naszych sal koncertowych, kształcących się zdala od ognisk rodzinnych i ziemi ojczystej. Acz niepewni sukcesu, gotowi są stanąć wobec publiczności (u nas tak nieprzychylnie usposobionej dla swoich) ze swemi zdobyczami, ażeby, jeśli im nie danem jest składać hekatomby, spalić przynajmniej drobną ofiarę na ołtarzu sztuki ojczystej, a z nią zdać sprawę ze swych usiłowań i pracy nad talentem. Takiemi to motywami powodowana, przybyła do kraju po świetnym debiucie i wielkich sukcesach artystycznych na włoskiej ziemi, pani Helena Miączyńska, artystka



Helena Miączyńska.

naprawdę z bożej łaski, której zawdzięcza zarówno wspaniałą, ukraszoną wdziękiem i pięknością postać Junony, zarówno olbrzymią muzykalność, jak i najważniejszy dla śpiewaczki przymiot, prześliczny głos o pięknym, zdrowym i niosącym dźwięku, a nadto i to *esprit*, które koronując sumę przymiotów śpiewaczki, robi z niej prawdziwą artystkę.

Panią Helenę Miączyńską (z domu Strzelecką) sposobili do zawodu śpiewaczego Souvestrowie, a następnie słynna Lucca, w której szkole przebyła lat kilka. Na drodze jej karyery artystycznej stanęła jednak silna zapora w postaci kobierca ślubnego. Pani Helena wyszedłszy za mąż, kultywowała sztukę śpiewaczą, lecz zachwyconymi słuchaczami było tylko grono najbliższych, a czasami tylko estrada. Owdowiawszy przed kilku laty, postanowiła poświęcić się sztuce już niepodzielnie i w tym celu wyjechała do Włoch na dalsze studya nad głosem, a szczególnie nad repertuarem operowym. Po dwuletnich studyach, w których mistrzem był jej prof. Moro Lina wystąpiła po raz pierwszy w nader trudnych warunkach w weneckim teatrze Rosiniego w partyi Eleonory (Forza dal destino). Wieść o świetnym debiucie i występach rozniosła włoska prasa codzienna i fachowa, stawiając naszą rodaczkę od razu w rzędzie najwybitniejszych dziś śpiewaczek operowych.

— *urs.* —

„Mateczka“.

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.

Napisał Bronisław Mazowiecki.

6 (Ciąg dalszy).

A żałowali również, że nie z Teklą trzeba dziś było mieć do czynienia i ludzie z poza dworu, z którymi siostra Felicya załatwiała w taki sposób różne interesa handlowe, iż nie sposób było nigdy cokolwiek zarobić — jak dawniej, lecz przeciwnie, najczęściej traciło się na korzyść dworu.

Prorok Jan.

Kiedy się już na dobre rozgospodarowała siostra Felicya w domu pana Edwarda, zdecydowano się wreszcie na wyjazd do Płocka.

W drodze wszędzie zwracano uwagę na szczególne zachowanie się podróżującej w towarzystwie dziedzica tercyarki. Mówili sobie wzajemnie: bracie i siostro. Przy każdej okazyi, a raczej najczęściej wcale bez okazyi, odmawiali we dwoje ostentacyjnie różaniec, a tak się jakoś składało, że za każdym razem akt ten pobożny stawał się występem publicznym i, jak się mogło wydawać, obliczany był na efekt.

Podróż trwała względnie długo, zatrzymywano się bowiem kilkakrotnie w drodze, ale przez cały czas oboje nie rozłączali się ani na chwilę.

Dopiero po przyjeździe do Płocka siostra Felicya pożegnała na kilka godzin pana Edwarda K., zostawiwszy go w hotelu. Udała się przedewszystkiem do mieszkania owego księdza Jana, którego miano zabrać z sobą do S...

Już w bramie domu przytrzymała ją gospodyni mieszkania, odnajmująca pokój choremu:

— Ach jak to dobrze, że siostra przyjechała sobie go zabrać... Jużem się nie mogła doczekać i byłabym dziś pisała właśnie, że go w żaden sposób dłużej trzymać nie mogę.

— Cierpliwości, cierpliwości, moja pani... Zresztą można trochę znosić przykrości dla zbawienia duszy... Nie na to nas Pan Bóg trzyma na ziemi, żebyśmy po różach chodzili przez życie.

— Dobrze siostrze mówić, ale skądże ja do tego przychodzę.. Ani to mój brat ani swat, żebym przez niego po nocach nie sypiała i w dzień nie miała chwili spokoju ani ja, ani nikt w domu...

— Pobłażliwość należy się choremu bliźniemu, zła z pani chrześcijanka.

— Więc kiedyż siostra uwolni mnie od niego?

— A wstał już, czy śpi jeszcze?

— Gdzie tam śpi... nie wstał jeszcze, ale jeszcze i nie spał... całą noc się awanturował, że się ludzie zbiegali pobudzeni.

Słysząc rozmowę, uchyliła drzwi i wyjrzała przez nie służąca.

— Józiu, wstał może już ksiądz?

— Przed chwilą, proszę pani, wołał na mnie, żeby mu wody podać.

— A to idę do niego — zawołała siostra Felicya i poszła w ślad za służącą, której pani wróciła do swego pokoju, uczesać się i ubrać, była to bowiem dość wczesna godzina ranna.

Józia dobijała się przez chwilę w przedsionku do drzwi zamkniętych, a tercyarka stojąc za nią, nie odzywała się.

— Niech ksiądz otworzy... ktoś przyjechał — wołała służąca, nie mogąc się doczekać otwarcia drzwi.

Wewnątrz pokoju panowała chwilowa cisza. Ksiądz nie dawał odpowiedzi. Wreszcie usłyszano kroki bosych nóg, w zamku klucz zgrzytnął i z poza uchylonych nieco drzwi wyjrzało dwoje dużych i szeroko otwartych oczu siwych.

— Ah, to siostra przyjechała... proszę, proszę... czemuż mi, Józiu, nic nie mówiłaś...

Służąca się cofnęła, a tercyarka weszła do środka. Gdy drzwi za sobą zamykała, ksiądz Jan poszedł w kąt pokoju i z łóżka ściągnąwszy coś na kształt prześcieradła, starał się okryć na przyjęcie gościa.

Był to człowiek młody, wysoki, chudy, z pociągłą twarzą kościstą i wydłużonym nosem.

Miał na sobie tylko koszulę brudną i potarganą w strzępy zwłaszcza na piersiach i na ramionach. Nie mniej poszarpana była płachta cienka, żółta, którą okrywszy się nieco, szedł, słaniając się na bosych, cienkich nogach, od łóżka ku oknu, gdzie w milczeniu usiadła Felicya.

W pokoju był zaduch niemożliwy, chory bowiem nie pozwalał okna otwierać, na którem wisiały jakieś szczątki koca, jeszcze bardziej przyciemniając i tak dość mroczne mieszkanie. Mebli było nie wiele, ale taki nieład panował we wszystkiem, że prawie nigdzie nie było wolnego kąta.

Łóżko sprawiało wrażenie barłogu nędzarza. Obok na krzesłach suszyły się mokre części podniszczonej garderoby i brudnej bielizny w strzępach.

Na dużym stole walało się mnóstwo odpadków jedzenia i stało kilkanaście talerzy i talerzyków z rozmaitymi potrawami. Psuły się one od szeregu dni, a chory nie pozwalał ich sprzątać, lecz przeciwnie, kazał sobie codzień nowy przynosić obiad. Niekiedy napoczął czegoś z talerza i odstawił na później, innym razem nie tykał nawet potrawy, a zazwyczaj jadał po łyżeczce raz na kilka godzin w dzień lub w nocy i częściej sięgał po potrawy już dosłownie zepsute, aniżeli świeże.

To samo było z rozmaitemi napojami, jakie sobie kazał przyrządzać umyślnie, a które potem po kilka dni nieruszane wystawały na stole, na oknie, nawet na podłodze, w szklankach, filiżankach i garnuszkach.

Gospodyni miała zapłacone z góry, więc przez Józię przysyłała codzień do pokoju chorego obiady, kolacye i śniadania bez względu na to, czy je ten zjadał, czy zostawiał.

Służącej żal nieraz było, gdy widziała, że ksiądz nie jadł przez dzień cały i przyniósłszy mu świeży obiad, zachęcała go poczciwie do posilenia się, lecz ten zwykle odpowiadał spokojnie:

— Postaw, dziecko, na stole... jeszcze czas nie nadszedł... Ciało należy umartwiać, a nie oddawać się ciągłej rozkoszy...

Albo w takich chwilach w oczach Józi zjadał łyżkę skwaśniałej już zupy, od dni kilku stojącej na próżno, przyczem dodawał:

— Widzisz, dziecko... zaraz przyszłyby na mnie pokusy, gdybym zgrzeszył przez zbyt obfite objedzenie się...

— Co też ksiądz powiada... ładne mi to objadanie się, jak wszystko stoi daremnie, cobym tylko nie przyniosła...

Tak rzeczy zastała siostra Felicya, która z krzesła swego ciskała na wsze strony ciekawe spojrzenia, żeby się upewnić, o ile i co do czego zaszły zmiany. Naprzeciw niej usiadł teraz chory i milczał przez chwilę, wodząc ruchem nerwowym ręką po swojej dawno niegolonej twarzy, na której tu i ówdzie puszczała się już nierówno broda.

— Nie chcą brata trzymać w tem mieszkaniu — odezwała się wreszcie ona pierwsza. — Trzeba więc wyjechać z Płocka... Ja się tem sama zajmę.

— Wszystko mi jedno... owszem, mogę wyjechać pod warunkiem, że tam, dokąd jadę, zastanę wszystko już gotowe, ponieważ ja sam nie mógłbym i nie umiałbym zająć się czemkolwiek... Widzisz, siostro, jestem jakby małe dziecko, które dopiero idzie do świata... Ono nie troszczy się o nic, bo natomiast rodzice czy też wogóle ktoś starszy myśli już o wszystkiem, przewiduje i zajmuje się wszystkiem do tego stopnia, żeby dziecko na każdym kroku przychodziło do gotowego... Tak, widzisz, ze mną jest dzisiaj. Postępujcie więc ze mną niby z małem dzieckiem.

Siostra Felicya uważając, że chory jest przytomny, zaczęła mu perswadować, że naraża ją na przykre kłopoty, nie dając chwili spokoju domownikom ni w dzień ni w nocy.

— Czy brat musisz wyprawiać krzyki, brewerye?

— Jeżeli czuję, że to właśnie sprawi ulgę mojej duszy, naówczas krzyczę albo płaczę... i zawsze mi jest potem lepiej.

— Ależ przez to nikt cię nie będzie trzymał u siebie w domu ani w mieście ani na wsi, sąsiedztwo zdenerwowane twojemi awanturami, chce ci się pozbyć za wszelką cenę. To źle więc, bracie. Gdziebym cię nie oddała, zaraz zaczną mi robić wyrzuty, jak tutaj... Trzeba zatem uwzględnić to wszystko i zachowywać się inaczej, bo tego nikt nie myśli znosić.

Podczas ostatnich słów jej wstał on powoli, wstrząsany jak gdyby wewnętrznym dreszczem, zachwiał się na wysokich, wychudzonych nogach i poszedł pod ścianę nieopodal, gdzie nic nie stało, a tylko jakieś walały się papiery po podłodze. Tu przystanął twarzą do muru. Lewą rękę oparł sobie o krzyże, rozpinając na łokciu jakby namiot z podartej płachty, z pleców mu zwisającej, głowę pochylił na piersi, a palce prawej ręki wpił w czoło. Zaczęły mu zrazu usta drżeć, potem wykrzywiały się muskuły twarzy, wreszcie wstrząsały się raz w raz różne członki dziwacznie wykrzywionej, garbato pochylonej figury wysokiego a chudego mężczyzny w koszuli. Słychać było łkanie...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pierwszy prezes Dumy.

Jednogłośnie wybrała nowa Duma rosyjska prezydentem swoim Muromcewa. Prezydent to wyśmienity. Łączy niezachwiany spokój z energią niepospolitą; szybko się oryentuje i nie traci ani na chwilę z uwagi toku rozpraw. Postać okazała, z głową w górę wzniesioną, o włosach siwych i z takąż brodą. Na twarzy wyraz powagi, rozumu i szlachetności. A jest to w istocie jeden z najszlachetniejszych Rosyan. Polska ma w nim serdecznego przyjaciela. Należał on w ogóle zawsze do tych, co usiłowali przyśpieszyć nadejście dnia wolności. Oprócz prac na polu naukowem, jako pisarz i profesor, należał Muromcew zawsze do gorliwych działaczy w instytucyach samorządu. W listopadzie 1904 roku, w Petersburgu podpisał on między innymi pamiętny akt żądania konstytucyi, co naówczas było czynem wielkiej odwagi obywatelskiej. Wkrótce później na pierwszym zjeździe polsko rosyjskim w Moskwie, w czasie rozpraw nad naszemi stosunkami u Lednickiego, Muromcew odezwał się pierwszy z Rosyan:

— Wszystko, co się działo dotychczas w Polsce, uważam za hańbę, a że mogę to powiedzieć Polakom, czuję się dziś szczęśliwy...

W rok później Ziemcy pod jego właśnie prezydencyą uchwalili domagać się autonomii Polski.

Bomba na Marszałkowskiej.

Przed samem zamknięciem niniejszego numeru, nadeszła z Warszawy wiadomość o nowej bombie. Jeszcze miasto było pod wrażeniem strasznego wybuchu przed pasażem Simonsa na rogu Długiej i Bielańskiej, gdzie spełniono zamach na Proskuriakowa, gdy znowu pękła bomba, tym razem na Marszałkowskiej, porywając jeszcze więcej ofiar.



Bomba na Marszałkowskiej: Osławiony pomocnik komisarza policyi warszawskiej, sztabskapitan Konstantynow, którego w poniedziałek wieczorem zabiła rzucona na niego bomba.

Podajemy na razie Czytelnikom fotografię osławionego komisarza policyi Konstantynowa, którego ciało eksplozya rozerwała w kawałki. Na niego to bombę rzucono. Zabitych i rannych jest jednak więcej, zwłaszcza, że wojsko po wybuchu dało salwę. Dalsze illustracye do tego wypadku zamieścimy dopiero w następnym numerze.

Zamknięcie szkoły lasowej we Lwowie.

W zeszłym tygodniu została przez Wydział krajowy zamkniętą krajowa szkoła lasowa we Lwowie. W szkole tej od dłuższego czasu panowały anormalne stosunki, których przyczyną było dążenie Wydziału krajowego do obniżenia poziomu nauki w tej jedynej tego rodzaju szkole w kraju, wbrew żądaniom słuchaczów, popieranym zawsze przez grono nauczycielskie. Już przed kilku miesiącami wybuchł był w szkole tej strejk słuchaczów, którzy przedstawiwszy w długim memoryale swoje postulaty, zaprzestali uczęszczać na wykłady. Strejk ten został wskutek interwencyi kilku lubianych i szanowanych przez słuchaczów szkoły profesorów zażegnany.

Stosunki jednak nie o wiele się zmieniły. Słuchacze wprawdzie wrócili do zakładu, przyobiecano im bowiem pewne zmiany i reformy, których oni się domagali, również grono nauczycielskie obietnicy dotrzymało i przeprowadziło w regulaminie szkoły obostrzenie warunków przyjęcia, mimo to jednak wśród słuchaczów wrzało dalej. W szczególności żądali oni, by profesorowie zaprzestali tzw. pytania na klasy w ciągu kursu, co zostało wprowadzonem z polecenia Wydziału krajowego.

Konflikt wzmógł się i słuchacze ostatecznie zapowiedzieli, że na pytania odpowiadać nie będą. Wówczas Wydział krajowy zamknął szkołę, zarządzając nowe wpisy, przy których, każdy nowo wpisujący się słuchacz, miał złożyć oświadczenie, iż poddaje się bez zastrzeżeń regulaminowi szkoły.

Termin wpisów minął z początkiem ubiegłego tygodnia, a minął z tym wynikiem, iż żaden z dawnych słuchaczów do szkoły się nie wpisał. Z nadzwyczajną solidarnością postanowili oni raczej stracić rok, opuścić kraj i w którymś z poza krajowych zakładów ukończyć studya, niż poddać się zarządzeniom Wydziału krajowego, zarządzeniom, które uważali za szkodliwe dla rozwoju szkoły.

Obecnie tedy szkoła lasowa we Lwowie faktycznie nie istnieje. Słuchacze jej przeważnie opuścili już Lwów, reszta zaś uczyni to w najbliższym czasie.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy zdjęcie fotograficzne grupy słuchaczów szkoły lasowej we Lwowie, którzy szkołę tę opuścili.

Zagadki do nagrody.

Szarady.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

I.

Szczęśliwi tacy ludzie są na świecie,
Co mają dobre *pierwsze, drugie, trzecie.*
Bo taki *cały*, chociaż *czwarty — trzeci*,
Patrzy na świat wesoło, niby małe dzieci.
Smutek u niego w sercu nigdy nie postoi,
A często nawet troski innych koi.

II.

Pierwsze-trzecie, choć małe, lecz wielkie szkodniki,
Drugie czyni w preferansie wrażenie niemałe,
Znajdziesz je również w teoryi muzyki.
Całość — owoce smaczne, okazałe.

Arytmogryf.

Ułożył Józef Robak w Krakowie.

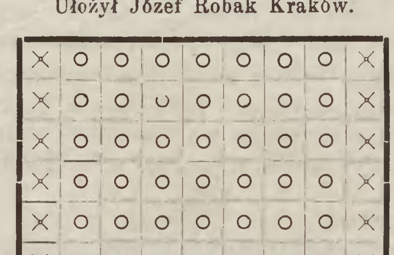
5	8	9	7	4	10	11
	10	1	4	3	2	
		12	2	7		
	13	11	14	6	12	
1	2	3	4	5	6	7
	4	8	11	15	2	
		16	15	6		
	17	8	6	15	11	
18	19	11	20	21	11	7
21	3	4	18	19	5	11
12	2	6	5	8	9	12
5	11	21	4	12	2	3

Zamiast liczb wstawić litery w ten sposób, aby środkowe, czytane z góry na dół, utworzyły nazwisko polskiego kompozytora.

Znaczenie wyrazów: 1. Miejscowość w Galicyi. 2. Kraj w Ameryce. 3. Zaimek. 4. Taniec i piosnka górali pirenejskich, rozpowszechniona na całym świecie. 5. Góra w Grecyi. 6. Nazwa najwyższego rozkazu sułtana do wezyra wystosowanego. 7. Część ciała. 8. Miasto w Wielkopolsce niedaleko Poznania. 9. Napój. 10. Ptak. 11. Poeta grecki. 12. Najwyższa ozdobna część kolumny.

Kryptogryf.

Ułożył Józef Robak Kraków.

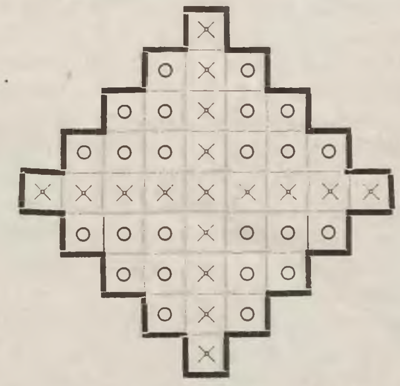


Krzyżyki i kółka należy zastąpić literami w ten sposób, aby początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzyły pseudonim znakomitej powieściopisarki polskiej, zaś końcowe, czytane w tym samym kierunku, tytuł jej powieści.

Znaczenie wyrazów: 1. Miasteczko w Galicyi nad Dunajcem. 2. Jedna z dziewięciu muz. 3. Sławny filolog niemiecki, twórca metody (jego imienia) uczenia się języków. 4. Roślina z rodziny złożonych, hodowana u nas w ogrodach kwiatowych. 5. Dwa imiona męskie. 6. Rasa mongolska, zamieszkująca tundry na wybrzeżu morza Lodowatego na Syberyi.

Kryptogram.

Ułożył Józef Robak Kraków.



Gwiazdki i kółka zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane w poziomym i pionowym kierunku, utworzyły tytuł znakomitej sztuki G. Zapolskiej.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Ptak. 3 Sławny i waleczny wódz Husytów. 4. Stowarzyszenie katolickie. 5. ? 6. Powieść Glińskiego. 7. Imię męskie zdrobniałe. 8. Rzeka alpejska. 9. Samogłoska.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza redakcya jako nagrodę **wspaniałą bombonierkę** czekoladek z cukierni lwowskiej J. Michalika w Krakowie.

Rozwiązanie zagadek z Nru 18.

Zagadka.

Przedświt — Krasiński.

Kryptogryf.

San Francisco.

Arytmogryf.

Lewandowski.

Logogryf.

Harpago**n**, **A**nastazy**a**, **n**abó**j**, **i**nfluenz**a**, **A**cernu**s**, **s**ele**n**, **e**umemid**y**, **n**aje**m**, **O**b, **r**egulato**r**, **S**ic**z**, **o**bleńc**e**, **L**iebi**g**, **A**njo**u**, **T**ale**s**, **A**nank**e**, **R**ewe**l**, **N**iesiec**ki**, **i**ma**m**, **K**arako**rum**, **J**areck**i**, **a**baż**ur**, **M**orfeus**z**, **i**zb**a**, **o**se**t**, **Ł**omż**a**, **N**arbut**t**, **A**a**r**, **O**chorowic**z**, **L**aplac**e**, **i**ndygowie**c**, **M**ary**s**i**wici**, **P**annoni**a**, **i**bi**s**, **E**stkowsk**i**, **s**taj**e**, **a**we**l**, **C**oimbr**a**, **H**ako**n**, **e**mety**k**, **m**etampsychoz**a**.

Hania — Sen — Orso — Latarnik — Jamioł — Na Olimpie — Sachem — Na jasnym brzegu — Selim Mirza — Ta trzecia — Sielanka.

Kryptogram.

A, a**h**a, Op**a**wa, Aha**s**wer, ka**w**ka, de**s**, **r**.

Ahaswer.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: T. Domain Sanok, B. Ramułtowa Jeżów, J. T. Flura Uhnów, E. Bogdalska Koropuż, K. Bobek Kraków, Z. Szymczakowska Kraków, H. A. Żralski Podgórze, E. Mroziński Mosty wielkie, Tow. „Zgoda“ Krosno, Fr. Niepokój Krosno, A. Surowiecki Kraków, Al. Bocsoń Bóbrka, H. Karatnicka Nadwórna, A. St. Bassara Niwiska, J Sułkowski Kraków, J. Aleksandrowicz Kraków, I. Pompianka Kraków, K. Fuchs Peczeniżyn, K. Chodkiewicz Zbydniów, H. Mokrzycka Turbia, J. Czechowicz Mikołajów, J. Kasparek Lwów, H. Plechawska Stanisławów.

Nagrodę przez lososwanie otrzymała p. **E. Bogdalska w Koropużu.** Prosimy o nadesłanie 72 halerzy na koszta przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Odprawa.

Konkurent: — Tak dalece więc wszystkoby było w porządku. Lecz a propos, cóż dajesz pan córce na drogę życia?

Ojciec panny: — Mam nadzieję, że dobrego i solidnego męża.

Złapał się.

Prokurator: — Co się tyczy najzupełniej zdemoralizowanego oskarżonego, to często widywałem go w miejscach, które rumieniłbym się odwiedzać...

Ciężka kara.

Młody lekarz: — Taką mam złość do siebie, że byłbym wstanie wziąć się na własną kuracyę!

